MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 53. WARSZAWA, 17 GRUDNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

RZĄDZĄCY I RZĄDZENI

W KAŻDEM państwie istnieje w jakiś sposób zarysowany podział ludności na rządzących i rządzonych. Jedni dzierżą władzę, drudzy muszą słuchać. Geneza takiego podziału może być rozmaita: może być on wynikiem długotrwałej ewolucji historycznej, czasem jednak decyduje o nim akt gwałtu, jakiś podbój dokonany zzewnątrz, czy przewrót wewnętrzny. Jeżeli w takiem ujęciu mówić się pragnie o rządzącej „elicie“, będzie to pojęcie, którego jedyną treścią byłby sam fakt, że jakaś grupa rządzi państwem. W takiem rozumieniu wyrazy „elita“ i „rządzący“ byłyby synonimami.

Ale wyraz „elita“ w pojęciu tych, którzy dzisiaj mówią o postulacie rządów elity, ma mieć treść znacznie bogatszą od wyrazu „rządzący“; nie myślą oni przecież o „rządach rządzących“ coby trąciło niewątpliwie „maślanem masłem“. Używanie wyrazu „elita“ ma tu miejsce w sensie etymologicznie prostszym, chodzi o to, że rządzić mają „wybrańcy“, a nawet poniekąd „najlepsi“. Chodzi tu o jakąś formę rządów arystokratycznych w greckiem znaczeniu tego słowa. Autorom nowych haseł konstytucyjnych nie zależy na stwierdzeniu faktu, że ci, co rządzą dzisiaj, tworzą *ipso facto* elitę, choć tak to może wyglądać, ale raczej pragną dopiero stworzyć tę elitę i oddać jej rządy. Byłby to więc komplement pod adresem ludzi jutra, jeżeli zaś będą oni identyczni z ludźmi dnia dzisiejszego, jeżeli nawet nie będą mogli być inni, tem ci szczęśliwiej dla autorów projektu. Ludzie dnia dzisiejszego wdzialiby bardziej uroczyste szaty i powstanie elity dokonałoby się gładko...

Atoli sam problemat ustrojowy nie da się zbyć tak poprostu. Szereg pytań ciśnie się pod pióro. Czy rządzący są zawsze elitą? Czy elita zawsze rządzi? Jaki jest cel rządów elity? Jaką drogą może się dokonywać jej selekcja? Czy może powstać elita trwała na zasadzie kryterjów czysto formalnych? Czy może istnieć elita bez moralnego uzasadnienia jej przodującej pozycji? Czy stosunek elity do narodu, państwa, do zagadnienia władzy może być stosunkiem mechanicznym, stosunkiem faktycznym rządzących do rządzonych, do aparatu, służącego do ujarzmienia rządzonych, do brutalnego zagadnienia, kto na wozie, a kto pod wozem? Pytania takie można mnożyć z powodzeniem, a zawsze na ich dnie znajdziemy jedno, najbardziej istotne: jak sprawić, by rządzili ci, co najbardziej są godni, by ster ująć w ręce i prowadzić rządzonych poprzez zdradliwe rafy codziennego życia i przez burze dziejowe?

Płycizna dotychczasowych uzasadnień i dyskusyj na temat rządów elity wskazuje, że tam, skąd rzucono to hasło, interesowano się raczej przystrojeniem dzisiejszego *régime*'u w jakieś sakralne szaty, niż istotą wieloznacznego hasła. Stąd ta pochopność do ujęcia postulatu w formalne ramy postanowień prawnych. Komu bowiem zależałoby na rządach rzeczywistych wybrańców, wybrańców najlepszych, elity naturalnej, temu ważniejszy byłby proces jej naturalnego tworzenia się i dochodzenia do głosu w państwie, niż dążenie do jej najszybszego okrzepnięcia w zastygłe formy konstytucji. Na pytanie wyżej postawione i na wiele innych jeszcze musieliby propagatorzy „elity“ mieć odpowiedź, i to nie papierową, ale potwierdzoną przez życie, przez dostrzegalną rzeczywistość dnia wczorajszego i dzisiejszego.

Zagadnienie rządu i elity rządzącej nie da się zagadać frazesem, ani przegłosować mechanicznie. Nie da się uprościć przez to, że weźmie się za nawias zagadnienia najistotniejsze, zagadnienia moralne stosunku rządzących do rządzonych. Od chwili, gdy panujący przestał być w opinji rządzonych „z Bożej łaski", problemat rządu zawisł w powietrzu, ci, którzy, propagując w XVIII w. „przewrót umysłowy", odarli władzę z jej szat sakralnych, daremnie dziś poszukują uzasadnienia moralnego dla własnej władzy. Szeregi doktryn puszczono w świat na przestrzeni ostatnich dwóch wieków, od „kontraktu społecznego" Rousseau'a aż po dyktaturę proletarjatu, ale nie posunięto się ani o krok naprzód w umocnieniu moralnem swej władzy. Podział na rządzących i rządzonych wyrodnieje w oczach w przedział między rządzącymi a rządzonymi.

Zasada elity rządzącej, pojęta jako przeciwstawienie pewnej drobnej części narodu całej jego reszcie, pochodzi ideologicznie ze źródeł wolnomularskich, korzenie jej tkwią w masońskiem przeciwstawieniu wtajemniczonych i profanów. Podział w państwie wolnomularskiem na rządzących i rządzonych był bowiem koniecznością. Rządzący — to nie był rząd w formalnem tego słowa znaczeniu, ani ci, co mieli formalny tytuł do wywierania wpływu na wykonywanie władzy; w rzeczywistości do rządzących, do elity istotnej należeli tylko wtajemniczeni „bracia", zaś miejsce ich w tej klasie zależało od tego, jak dalece zostali wtajemniczeni, jak blizko znaleźli się kierowników głównych, swych „nieznanych przełożonych". Rządzeni zaś — to ogół profanów, kierowany z ukrycia ku nieznanym celom. Rządzący — to byli ci, co garnęli do siebie pożytki tego świata, rządzeni zaś ci, co pracowali dla ich blasku i powodzenia życiowego. W tych warunkach rząd był wykonawcą nieustannego spisku, mającego za cel odrzeć ze skóry rządzonych na rzecz rządzących. A więc podział na wtajemniczonych i profanów, na rządzących i rządzonych, na elitę i szary tłum: dla pierwszych korzyści, dla drugich ciężary.

Naród od wieków osiadły domaga się hierarchji bardziej stopniowanej, bardziej naturalnej i przedewszystkiem bardziej moralnej. Rząd w nim, ani jego najbliżsi współpracownicy nie są elitą, lecz tylko szczytem wysoko zbudowanej drabiny hierarchicznej. Nowopowstająca hierarchja w narodzie musi mieć mocne podstawy swego istnienia i swej konstrukcji. Sztuczki prawne i dowcipne doraźne pomysły nie dają żadnej rękojmi trwałości. Mając za sobą pozory nowego rozwiązywania zagadnień ustrojowych, będą właściwie jedynie dalszym etapem niszczenia instynktów hierarchji, stanowiących przecież istotne spoidło każdego narodu osiadłego.

Bez zasady prostego stosunku praw do obowiązków nie da się pomyśleć żadna trwale zbudowana drabina hierarchiczna. Im poważniejsze obowiązki, im cięższa odpowiedzialność, tem więcej praw. Najwymyślniejsze klecanki muszą runąć, gdy zabraknie im fundamentów moralnych.

Nie każdy na mandat moralny do decydowania o zagadnieniach ustrojowych narodu. *Non est idem, si duo faciunt idem.*

TADEUSZ GLUZIŃSKI

O PODSTAWY POLITYKI KRESOWEJ

P. ADOLF M. BOCHEŃSKI zamieścił w sanacyjno-konserwatywnym „Buncie Młodych" niezwykle obszerną, dziesięcioszpaltową recenzję mej książki „O program polityki kresowej". Recenzję tą traktuje jednak nietyle jako jednostronne sprawozdanie, co jako występ polemiczny. Tem samem zmusza mnie do odpowiedzi.

Odpowiedź tę piszę tem chętniej, że występ p. Bocheńskiego utrzymany jest w tonie poprawnym, a nawet nie pozbawionym kurtuazji. Publicyści sanacyjni tak rzadko zasługują sobie na to, by ich jako lojalnych przeciwników traktować i poprostu wdawać się z nimi w rozmowę, — że napotkanie na taką *„rara avis"* budzi mimowolne westchnienie ulgi i zgóry do takiej rozmowy dobrze usposabia.

Odpowiedź jednak na recenzję p. Bocheńskiego nie jest rzeczą łatwą. Przyczyną tego jest rodzaj zarzutów, jakie mi p. Bocheński postawił. — Nie zaatakował on mianowicie samej mojej koncepcji polityki kresowej, lecz — zrębów tej koncepcji nie tykając — wystąpił pod adresem nietyle proponowanego przezemnie programu, co napisanej przezemnie książki, z całym szeregiem zarzutów o charakterze kazuistycznym. Zmusza mnie to do takiej samej kazuistyki w odpowiedzi — i nie daje mi sposobności do wystąpienia w obronie tego, co w mej książce jest istotnie ważne: samej koncepcji programowej.

Pan Bocheński zgrupował sam swoje zarzuty w dwa zasadnicze działy: zarzuty natury formalnej i zarzuty natury rzeczowej. Spróbuję odpowiedzieć na nie w przyjętej przezeń kolejności.

Pierwszym i bodaj głównym zarzutem, który mi p. Bocheński stawia, jest zarzut rzekomej mej niekompetencji do zabierania głosu w sprawie ruskiej.

Dość łatwo jest na to odpowiedzieć, że nie to jest rzeczą istotną, jakie są moje kwalifikacje formalne do zabierania w danej kwestji głosu, lecz to, czy wysuwane przezemnie twierdzenia są słuszne. Nie powołuję się na swój autorytet, lecz na znane mi fakty. Można atakować ścisłość podawanych przezemnie faktów, albo prawidłowość opartego na tych faktach wnioskowania, — tą metodą dojdzie się też i do wniosków, dotyczących mojej kompetencji w danej sprawie. Ale nie sądzę, by trafna była metoda odwrotna. Bo nie formalne kwalifikacje świadczą o wartości dzieła, lecz wartość dzieła o kwalifikacjach.

Ale p. Bocheński przewidział możliwość takiej odpowiedzi i zgóry uprzedza, że przywiązuje do swego zarzutu wagę tak wielką, iż postawi go bez względu na to, że jest to tylko zarzut natury formalnej. Wobec tego pozwolę sobie odpowiedzieć, co następuje.

Pisałem w przedmowie do mej książki, że punktem wyjścia do sformułowania sobie poglądu na sprawę ruską w Polsce była dla mnie znajomość warunków życia ludności polskiej pod obcem panowaniem na zachodzie, co dało mi odwrotne,— od strony narodowości asymilowanej, — spojrzenie na problemat zmagań narodowościowych wogóle, a tem samem i na sprawę ruską — i pozwoliło mi objąć tę sprawę w pełniejszej perspektywie. Nie znaczy to jednak bynajmniej, bym sprawę ruską znał tylko z odległości. Mogę p. Bocheńskiego zapewnić, że wszystkim jego wymaganiom zapoznania się z elementami sprawy ruskiej uczyniłem zadość z nawiązką. Dane o tej sprawie starałem się zreszą głównie zbierać u samego dołu, — drogą rozmów z chłopami, drogą przypatrywania się życiu kresowej prowincji, drogą uczestnictwa w tych lub owych poczynaniach społecznych na kresach, drogą studjowania danych o ruskiem życiu organizacyjnem (nawet danych tak szczegółowych, jak np. bilanse ruskich spółdzielni). Niejeden dłuższy okres czasu spędziłem w różnych zapadłych kresowych zakątkach, — na to, by się w rytm ich powszedniego życia bezpośrednio wczuć. Znam — gorzej lub lepiej — całe mniej więcej nasze kresy. Nie mówiąc o okolicach białoruskich, byłem i w ziemi Lwowskiej i Przemyskiej, i na galicyjskiem Podolu, i na Podkarpaciu, i na Pokuciu, i na Łemkowszczyźnie, i na Wołyniu, i na Polesiu i na Chełmszczyźnie. Ponieważ p. Bocheński widzi sprawę ruską w szerszych granicach, niż nasze granice państwowe, — mogę go poinformować, że byłem również i na Bukowinie i na Rusi Zakarpackiej. Że w roku 1916 byłem w Kijowie, a nawet na Zadnieprzu. Że zetknąłem się z wychodźtwem ruskiem w Niemczech i w Bośni. Wszystko razem zajęło mi całe lata. To też rada, bym przybył do Małopolski Wschodniej i zapoznał się z jej życiem na miejscu, jest cokolwiek spóźniona.

Również chybione jest wyrażenie wątpliwości, czy znam cyrylicę. Znam nietylko cyrylicę, — ale mam pojęcie również i o ruskiem piśmiennictwie o wiele większe, niż p. Bocheński przypuszcza.

Drugi zarzut natury formalnej — to zarzut, że wypowiadam swe poglądy na sprawę ruską w sposób zbyt brutalny (jak p. B. pisze — „nieuprzejmy“) — i mogę tem Rusinów urazić. Zarzut ten jest zrozumiały ze stanowiska p. B., który marzy o ugodzie z ruchem „ukraińskim“, — ale jest on zupełnie bezprzedmiotowy z punktu widzenia polityki asymilacyjnej. Mówię o Rusinach to, co uważam za słuszne — i zupełnie nie widzę powodu liczyć się z tem, że to może ich urazić. Nie pisałem mej książki dla Rusinów, tylko dla Polaków. Ten element ruski, który może być przedmiotem polityki asymilacyjnej z naszej strony, i tak książki mej czytać nie będzie.

P. B. twierdzi, że „najlepszym sposobem na oddalenie jaknajwiększej ilości naszych ukraińców i białorusinów od polskiej idei narodowej jest lektura tak drażniącej i bolesnej dla nich książki“, jak moja. „Czytelnicy żądają dowodu“ — pisze dalej p. B. „Otóż dowód jest oczywisty. Jest nim radość skrajnie nacjonalistycznego, antipolskiego pisma Doncowa „Wistnyk“ z powodu ukazania się“ tej książki. Odpowiem na to, — że jeżeli to jest jedyny dowód — to twierdzenie p. B. jest widać oparte na słabych podstawach. Bo przyznam się, że w recenzji „Wistnyka“ dostrzegłem wszystko, prócz radości. Przyznam się, że żadna recenzja nie sprawiła mi tyle przyjemności, co ta właśnie. Bo w recenzji tej nie znalazłem ani jednego argumentu, któryby się moim twierdzeniom sprzeciwiał. A tem samem znalazłem potwierdzenie słuszności tych twierdzeń — ze strony ruskiej.

„Wistnyk“ — pismo poważne zresztą i ciekawe, które zawsze z zainteresowaniem czytam, — ujął tę recenzję w sposób dosyć osobliwy. Wyliczywszy szereg moich twierdzeń, przypisał mi dodatkowo kilka poglądów, których bynajmniej za swoje nie uważam. Przeciwko tym właśnie poglądom skierował swój główny atak polemiczny — i oczywiście odniósł nad niemi druzgocące zwycięstwo. Równocześnie jednak, nietylko nie zaatakował tez istotnie moich, lecz nawet je poparł uwagami w rodzaju następujących.

„Chcę tu, bodaj pobieżnie, zwrócić uwagę na nieodczuwany, niestety, wielki brak kultury w życiu zbiorowem Galicji. Tak, — kultura ludowa, styl... Ale to dopiero fundament, na którym trzeba dopiero wznieść dumny gmach własnej cywilizacji i kultury, lecz jeszcze nie sama kultura. Jeśli ten fundament nie otrzyma nadbudowy, nie pomoże ani idealizm, ani poczucie prawa, ani marzenia, ani zapał.

Jeśli my nie zdołamy przeciwstawić Puszkinom i Mickiewiczom nic prócz Natałek Połtawek, — stylowym pałacom nic, prócz wyrobów huculskich, Sienkiewiczowi — nic prócz Kaszczenki, „Czerewiczkom“ Czajkowskiego — „Zaporożca za Dunajem“, — Wyspiańskiemu — Gałana; kiedy Szewczenkę, największą postać, jaką jako równowartościową szczycić się może wobec innych nasza kultura, będzie się u nas wyklinać, tak jak to robią klerykali; kiedy wykończonym ideologjom politycznym przeciwstawiać będziemy nie choćby zachodnio europejski, lecz podejrzany *à la russe*, staroświecki monarchizm hetmański, lub dawno przekreśloną, zarówno przez Polaków, jak przez Rosjan, naiwną, prowincjonalną romantykę ludowości, kiedy olbrzymi odsetek naszej, zamożnej nawet inteligencji i dalej w tem samem tempie wyzbywać się będzie wszelkich potrzeb kulturalnych (prócz patefonu i radja), a zwłaszcza potrzeby książki; kiedy i nadal autorzy będą mniemać, że dla stworzenia dzieła twórczości cywilizacyjnej wystarczy pośpieszna pisanina bez wewnętrznego ognia, bez intensywnych studjów nad przedmiotem, — lecz tylko z odwagą i z zamiarem uzyskania zaraz sławy; kiedy i nadal redaktorzy szczelnie odgradzać się będą od obcej, zachodnio-europejskiej prasy, czerpiąc swą mądrość z organów brukowych; kiedy uważać się będzie u nas, że polityk, chcąc prawidłowo osądzić np. konflikt na Dalekim Wschodzie, nie musi studjować ani geografji Mandżurji, ani stanu transportów w Z. S. R. R., ani problematów demograficznych w Japonji; kiedy będziemy mówić i pisać „Wajgan“ zamiast Weygand, Paste - ur zam. Pasteur; kiedy dla nowych idej, czy to w sztuce, czy w życiu społecznem, czy w literaturze spotykać będziemy nieprzenikliwą ścianę tępoty myślenia oficjalnych krytyków i obojętności ogółu, — wtedy nastąpi to, co w podobnych wypadkach nastąpić musi. Wtedy właśnie te jednostki, które odczuwają głód wyższej kultury, nie znajdując jej w rodzimem otoczeniu, szukać jej będą gdzieindziej.

Autorzy projektów asymilacyjnych skupiają swoją uwagę, wobec zmienionych warunków, nie na nacisku „mechanicznym“, lecz — na rywalizacji o duszę ludu. I o tem nie trzeba zapominać. Bo jakby wysoko nie stała strona organizacyjno-materjalna (której zresztą lekceważyć nie można), — bez ożywiającego ją ducha zawsze formy organizacyjne zamierają i przestają być zbiornikami energij, konserwujących naród: dość przypomnieć, czem była np. unja cerkiewna przed rokiem 1848 w Galicji, a nawet jeszcze później na Chełmszczyźnie“.

Oczywiście, nie można znaczenia takich głosów przeceniać: zrozumienie bowiem niebezpieczeństwa jest już połową drogi do zapobieżenia mu.

Konia jednak z rzędem temu, kto w artykule, napisanym w takim tonie, zdoła dostrzec radość

II

Przechodzę do ważniejszej części krytyki pana Bocheńskiego: do zarzutów merytorycznych. — Ograniczają się one do krytyki samych przesłanek mej książki, — stanowiących jedynie punkt wyjścia do właściwego programu.

P. Bocheński podaje przedewszystkiem w wątpliwość moją tezę, że czołowe grupy ruskie wyznają program oderwania się od Polski.

Pierwszy argument, który wysuwa przeciw tej tezie, sprowadza się do twierdzenia, że nie może być mowy o jakiemś jednolitem nastawieniu „wszystkich publicystów ukraińskich i polityków“, gdyż dzielą się oni na szereg odłamów, różniących się bardzo w poglądach. Mamy tu jaskrawy dowód, jak dalece papier zasłania ludziom nieraz obraz życia. Nie mówiłem o publicystach, lecz o grupach czołowych. Jest to zgoła nie nowoczesny pogląd, uważać inteligencję za synonim „grup czołowych“ w społeczeństwie. Praca umysłowa, nie wyłączając publicystyki, to jest takie samo rzemiosło jak każde inne — i zajmowanie się tem rzemiosłem bynajmniej człowieka do godności przywódcy nie awansuje. Lud nieraz nie czyta tego, co piszą publicyści w mieście (między którymi, prócz pisarzy ludowych, są też i pisarze, pisujący wyłącznie dla inteligencji). Polemiki między publicystami ruskimi są odbiciem prądów, nurtujących śród inteligencji, — ale mierzyć niemi procesy duchowe, odbywające się w masie ludowej, byłoby rzeczą ryzykowną. Nastroje masy ludowej są o wiele bardziej prostolinijne i jednolite, niżby to można przypuszczać na zasadzie skłóconego rozgwaru publicystyki. I kształtują się w dużej mierze samorodnie i od djalektycznych wystąpień panów z miasta niezależnie. Nieraz prosty chłop na wsi, prezes miejscowej kooperatywy, czy „Proświty“, gorliwy działacz, agitator i organizator, więcej zasługuje na nazwę przedstawiciela elity politycznej swego społeczeństwa, bo istotnie pewien odłam tego społeczeństwa (swoją wieś) ma za sobą, niż publicysta, który jest czytany tylko przez garść inteligencji, w dodatku przyjmującej jego poglądy połowicznie i bez cienia fanatyzmu i zapału. Inteligencja — to może elita kulturalna (czy zawsze?), — ale to bynajmniej nie elita polityczna. To taka sama warstwa społeczna, jak inne: ma swych przywódców i ma swój szary tłum. W dodatku, to warstwa mniej zwarta od innych — bardziej sypka, bardziej materjalistyczna, oportunistyczna, bezideowa — podatniejsza na wynarodowienie. Mogą nurtować śród niej nastroje bardzo różne — i ewolucja całej tej warstwy może być całkiem od ewolucji masy ludowej odmienna. Mało mnie obchodzą odcienie postawy politycznej inteligentów ruskich. Obchodzi mnie natomiast postawa (niekoniecznie nawet uzasadniona teoretycznie, lecz wyrastająca z instynktu) tych żywiołów, zarówno inteligenckich jak tkwiących w samej masie ludowej, które odgrywają rolę faktycznej elity politycznej i które istotnie szeroką masę ludową prowadzą za sobą. Otóż nikt nie zdoła zaprzeczyć, że postawa polityczna tej elity jest przeciwpolska, nietylko w znaczeniu narodowem lecz i państwowem — i że siłą pędną tej elity jest irracjonalne może, lecz mocno w duszach tkwiące marzenie o niepodległości.

Drugim argumentem p. Bocheńskiego, zwróconym przeciwko mej tezie, jest pogląd, że obóz nacjonalistyczny ruski nie jest zainteresowany w oderwaniu się od Polski, gdyż groziłoby mu ono wpadnięciem w objęcia sowieckiej Rosji. Odpowiem na to, że nie można zapominać i o trzeciej ewentualności, jaką jest polityka niemiecka i wykład jej dążności, zawarty w traktacie Brzeskim. Ta ewentualność może być uznana za nieprawdopodobną — jest jednak możliwa. To też nic dziwnego, że nadzieje separatystów ruskich czepiają się tej właśnie ewentualności. Narodowcy ruscy wolą stawiać po ryzykancku na niepewną kartę niemiecką, niż godzić się na realny może, ale nieponętny program narodowej rezygnacji. I trudno im się dziwić.

Zastanawiając się nad kierunkiem przyszłej ewolucji polityki ruskiej, nie można opierać się zbyt dosłownie na literze tego, co Rusini dziś piszą, ani na tem, co w położeniu politycznem Rusinów widoczne jest dzisiaj — lecz należy wmyśleć się w logikę dziejowego rozwoju. Ruch odrodzenia narodowego prowadzi nieodparcie do jednej tylko konsekwencji: do sformułowania i urzeczywistnienia programu niepodległości państwowej. Bez tej konsekwencji — możliwe jest tylko załamanie się tego ruchu.

W perspektywie dziejowej możliwe są co do Rusinów trzy tylko ewentualności: zlanie się z narodem polskim, zlanie się z narodem rosyjskim (nie mówiąc o podziale między te dwa narody), — oraz niepodległa Ukraina. Ugoda natomiast między ideą narodową ruską, a zasadą przynależności do państwa polskiego, — możliwa, co też watpliwe, jako dziejowe prowizorjum, — jest rzeczą *à la longue* niemożliwą z natury.

Nie jest dla nas możliwa do przyjęcia ani (mało zresztą prawdopodobna) ewentualność niepodległej Ukrainy, nieuchronnie wszak zmuszonej do wyciągnięcia ręki po Lwów, ani ewentualność stopniowego rozpłynięcia się strumyka życia ruskiego w morzu rosyjskiem. Pozostaje więc dla nas jeden tylko program: aby pogrzebać ideę państwowości „ukraińskiej“ i niebezpieczeństwo (wcale nie tak nieprawdopodobne, jakby się to dziś mogło wydawać) przechylenia się sympatyj ruskich ku Moskwie, — musimy zlikwidować ruski ruch narodowy. To znaczy — urzeczywistnić program asymilacji.

Program zaś ugody z ruchem ruskim musimy uznać za manowiec myśli polskiej, mający swe źródło, prócz świadomej inspiracji naszych wrogów, jedynie w nierozumieniu istoty stosunków narodowościowych i w atawizmie myślenia kategorjami wielonarodowej Austrji.

III

Drugą moją tezą, którą p. Bocheński zwalcza, jest teza, iż Rusini stanowią materjał etniczny jeszcze surowy, z którego w pełni skrystalizowany naród jeszcze się nie ukształtował. Twierdzi mianowicie — że istnieje zupełna wspólność dążeń i poglądów między ruskim ludem a inteligencją i że niekiedy nawet lud góruje tam nad inteligencją radykalizmem nacjonalistycznym.

Przyznaję chętnie rację — jeśli chodzi o te okolice, z których p. Bocheński czerpie swoje obserwacje. Tylko że sprawa ruska w Polsce (już nie mówiąc o sprawie ruskiej wogóle), nie ogranicza się do terenu Galicji. Mówiąc o sprawie ruskiej w Polsce (a także i o sprawie białoruskiej,

bo i tej sprawy książka ma dotyczy) trzeba jednak też pamiętać, że istnieje jeszcze Wołyń, Polesie, Chełmszczyzna no i ziemie białoruskie. Dopóki lud ruski na Wołyniu, Polesiu i t. p. stanowi bezkształtną miazgę, ze społeczeństwem rusko-galicyjskiem powiązaną bardzo jeszcze słabemi węzłami, dopóty procesu tworzenia się odrębnego organizmu narodowego ruskiego w Polsce nie można uważać za zakończony.

A przecież i w Galicji nie wszędzie jest tak, jak p. Bocheński mówi! Istnieje tam nietylko Łemkowszczyzna. Istnieje tam i na wschodzie szereg okręgów, gdzie ruch ukraiński puścił jeszcze bardzo słabe korzenie. A poza tem — cała społeczność ruska rozdarta jest po dziś dzień na dwa odłamy, przez utrzymywanie się jeszcze przy życiu obozu staroruskiego. Dopóki szczep ruski nie namyślił się jeszcze w całości, czem jest: narodem odrębnym, czy częścią narodu rosyjskiego,—dopóki istnieje w jego łonie nieliczny choćby, lecz samorodny i uczciwy obóz, który ideologji narodowej „ukraińskiej" nie uznaje, — dopóty wolno jest nawet tam, gdzie uświadomienie polityczne przeniknęło już głęboko w masy, uważać szczep ruski za nieskrystalizowaną jeszcze miazgę. Bo nawet tam istnieje jeszcze potencjalna możliwość przewrotu w nastrojach,—wynikająca stąd, że dominująca tam obecnie ideologja polityczna nie stała się jeszcze niezachwianym politycznym instynktem, tkwiącym we krwi, ale jest tylko doktryną, tkwiącą w mózgu.

To też teza moja, że Rusini są dotąd nieskrystalizowaną narodowo miazgą, w której czołowe tylko grupy (złożone zarówno z inteligencji, jak z szerokiej masy ludowej niektórych okolic) wyznają świadomie ideologję separatystyczną, jest w całej pełni słuszna[1]).

Nie znaczy to, bym wierzył w „bałamutną legendę o spokojnym ludku i złych agitatorach", jak się p. Bocheński wyraża. Zagadnienie jest o wiele bardziej skomplikowane, niż się to wydaje tym, którzy w strukturze społeczeństwa umieją odróżnić tylko lud i inteligencję, a nie dostrzegają innych podziałów, choćby tak ważnych, jak podział na przywódców i szary tłum. Mój program obliczony jest na szary tłum, — zwraca się twarzą (że użyję tego sowieckiego określenia) ku człowiekowi przeciętnemu, bez względu na to, czy jest inteligentem, czy chłopem,—ku przedmiotowi, a nie podmiotowi akcji politycznej. A zarazem atakuje jako przeciwnika—politycznego przywódcę, zarówno inteligenta, jak chłopa.

Stąd też i sceptycyzm co do możliwości stworzenia przegrody między ruskim ludem, a „popowiczem" i księdzem, jest bezprzedmiotowy. Bo ja wcale nie proponuję wytwarzania takiej przegrody. Uważam tylko, że polityka asymilacyjna musi sobie stawiać za cel zdobycie zarówno chłopa, jak księdza.

IV

Ludzka mowa jest ułomna. Nowej koncepcji politycznej niepodobna jest z całą dokładnością wyłożyć na piśmie, można ją tylko okazać czynem. Gdy obóz narodowy dojdzie w Polsce do władzy (p. Bocheński jest człowiekiem zbyt rozumnym, by nie zdawał sobie sprawy z bliskości tej chwili)—wtedy istotna treść narodowego programu w sprawie ruskiej zademonstrowana będzie w praktyce, a nieporozumienia co do niej znikną same. Gdyby koncepcje mej książki były—zamiast sprecyzowania ich słownego—pokazane w praktyce, rozmiary artykułu p. Bocheńskiego zredukowałyby się znacznie, gdyż odpadłoby zeń to, co jest podstawą szeregu jego zarzutów: nieporozumienie.

P. Bocheński stawia mi i inne jeszcze merytoryczne zarzuty, prócz tych, na które starałem się odpowiedzieć. Staje w obronie zasady zachowania przedziałów między elementem ruskim a polskim, broni koncepcji katastru narodowościowego i t. d. Na zarzuty te nie odpowiadam: wyczerpałem argumenty w mej książce, — jeśli kogoś argumenty te nie przekonywają, to na to niema rady.

Jedną tylko jeszcze rzecz poruszę: p. Bocheński cenzuruje moją książkę z punktu widzenia światopoglądu narodowego („endeckiego"), — tak, jak on go sobie wyobraża. Zamiast odgrywać rolę stróża prawowierności obozu, do którego nie należy, uczyniłby lepiej, gdyby się dokładniej z tem, co to jest „endecja", zapoznał. Zarówno niepoważne i naiwne uwagi, które wypowiada o polityce Romana Dmowskiego, jak i uogólniające wywody o poglądach narodowych na sprawę kresów, świadczą, że o tak wielkiem zjawisku w życiu polskiem, jakiem jest obóz narodowy, ma pojęcia, zaczerpnięte raczej z agitacyjnych, antyendeckich broszurek i wiecowych frazesów, niż z rzeczywistości.

JĘDRZEJ GIERTYCH

[1]) A gdyby była niesłuszna — to cóż z tego? Nawet całkowite obalenie tej tezy nie naruszy podstaw mego programu, gdyż program asymilacji stosować można nawet do narodu w całej pełni skrystalizowanego. Uzasadniałem już ten pogląd obszerniej w „Kurjerze Lwowskim" z d. 17 stycznia r. b.

PRASA KATOLICKA W HOLANDJI

HOLANDJA posiada dawne tradycje na polu sztuki drukarskiej i dziennikarstwa. Walczy o pierwszeństwo z Niemcami, zarówno co do wynalazku druku, jak i perjodyków tygodniowych.

Holandja odznaczała się w dziejach tem, że w pewnym, dość długim okresie czasu panowała w niej wolność głoszenia poglądów politycznych, filozoficznych i religijnych. Była więc rajem dla emigrantów z całej Europy. Wychodziły też w Holandji różne druki emigracyjne, przeważnie w językach łacińskim i francuskim, najbardziej używanych przez uczonych i warstwy wykształcone Europy z czasów przed Wielką Rewolucją Francuską. Mimochodem wystarczy wskazać, że w Amsterdamie (1632) ukazała się przecież, drukowana po łacinie, książka Jonstona, lekarza przy dworze Leszczyńskich w Lesznie; tego Jonstona, który dziełkiem swojem zapewne wywarł wpływ na Spinozę.

Holandja ma dziennikarstwo — jedno z najstarszych. Jeszcze dziś ukazują się tam pisma, liczące po trzy stulecia. Prasa holenderska była wzorem dla prasy innych narodów.

Petersburskie „Kuranty" (gazetki), które po holenderskiej podróży Piotra Wielkiego zaczęły się w Rosji ukazywać, brały wzór z holenderskich

„*Courant*'ów“, czyli gazet o pewnym typie, oddawna już drukowanych w miastach Niderlandów.

Ale prasa katolicka holenderska powstała właściwie dopiero w ubiegłem stuleciu. I to w związku z rozwojem holenderskiego ruchu katolickiego. W trzeciem dziesięcioleciu ubiegłego wieku katolików uważano ledwie za pół-Holendrów, obywateli drugiej klasy. Kościół Katolicki nie był jeszcze w Holandji zorganizowany, sama Holandja stanowiła z punktu widzenia Kościoła obszar misyjny. Katolicy holenderscy nie występowali nazewnątrz, obowiązki duchowne spełniali w ukryciu. Aczkolwiek ucisk wyznaniowy nie dawał się już we znaki, ale wieloletnie jego trwanie wytworzyło wśród ludności katolickiej odpowiednie nastawienie obywateli drugiej klasy.

Założycielem katolickiej prasy holenderskiej jest konwertyta J. G. Le Sage ten Brock, syn protestanckiego kaznodziei w Groningen. Założył on w r. 1822 „*Roomsch-Catholijke Courant*“, w Hadze. Gdy po pewnym czasie pismo przestało wychodzić, Le Sage ten Brock nie ustawał w swej działalności i wydawał dziesiątki innych czasopism katolickich, z których „*Godsdienstvriend*“ („Przyjaciel Służby Bożej“) wychodził 51 lat. Niewątpliwie Le Sage ten Brock przygotował swą działalnością grunt dla powstania i rozwoju czasopism katolickich. To też gdy w r. 1829 ukazał się w Hertogenbosch „*Nord-Brabanter*“, miał już grunt o tyle przygotowany, że rozwinął się i do dziś istnieje, jako jedno z najlepszych pism prowincjonalnych, sfuzjonowawszy się przedtem z „*Het Huisgezin*“ („Rodzina“). Po upływie lat kilkunastu w tem samem mieście założono (1845) drugie katolickie pismo „*De Tijd*“ („Czas“), które następnego roku przeniesiono do Amsterdamu. Ukazując się początkowo trzy razy w tygodniu, pismo to przekształciło się w r. 1848 na dziennik, istniejący do dziś i zajmujący poważne miejsce w prasie. Świadczy to już o wzmożeniu się ruchu katolickiego w Holandji. Zresztą rewolucje dały katolikom zrównanie wobec prawa. Ożywienie się ruchu na polu literackiem, działalność krytyczna Potgietera, Bakhuisena, Hueta i towarzyszy, zgrupowanych wokół czasopisma „*De Gids*“, wpłynęły drogą pośrednią na wytworzenie atmosfery przyjaźniejszej dla rozwoju ruchu katolickiego, który ma takie postaci, jak niezwykłej umysłowości ksiądz Guido Gezelle (1830 — 1899), subtelny, oryginalny i głęboki poeta. W tych warunkach katolicki dziennik „*De Tijd*“ stał się organem wpływowym i odegrał rolę wybitną w rozwoju kulturalnym katolików w Holandji. W r. 1868, w związku z walką, jaką katolicy prowadzili z liberałami, powstał dzięki inicjatywie kilku biskupów katolickich tygodnik „*De Maasbode*“, ukazujący się w Roterdamie. Małe, drukowane z początku na sześciu stronach pisemko, rozwijało się powoli, ale stale. W r. 1885 zaczęło się ukazywać jako dziennik. Obecnie jest to naczelny organ katolików holenderskich. A co więcej, pod względem technicznym i dziennikarskim stoi tak wysoko, że można go śmiało uważać za najpoważniejsze pismo katolickie świata. Pismo to, ukazujące się dwa razy dziennie, nietylko przewyższa w wielu kierunkach liberalne pisma holenderskie, ale śmiało może iść w zawody z poważnemi pismami angielskiemi. Tygodniowe przeglądy giełdowo-gospodarcze „*De Maasbode*“ są wysoko cenione przez sfery ekonomiczno-finansowe różnych obozów w całej Holandji, dział literacko-artystyczny wyróżniany jest przez intelektualne koła holenderskie. Wybitnym publicystą „*De Maasbode*“ jest Ojciec Hermans, dominikanin, wielki przyjaciel Polaków, który w tych dniach odwiedził Polskę w towarzystwie księdza L. Brinka, dyrektora Katolickiej Akcji Społecznej w Hadze. Ojciec Hermans wielokrotnie zabierał głos na łamach „*De Maasbode*“ w sprawach polskich, w roku zaś 1915 przewiózł do Polski sumę dziesięciu tysięcy guldenów, które napłynęły do redakcji jako ofiary, skoro pismo na drugi dzień po ogłoszeniu odezwy Sienkiewicza otwarło listę składek. Szpiegowany przez Niemców, wydalony z Poznania przez policję niemiecką jako „uciążliwy cudzoziemiec“, nie wpuszczony do Krakowa, złożył Ojciec Hermans pieniądze na ręce ks. proboszcza w Oświęcimiu. „*De Maaobode*“ wielokrotnie drukował artykuły w sprawie polskiej. W sprawie Pomorza zamieszczał przychylne Polsce informacje i artykuły. Dyr. pisma Knijpers bawił w lecie r. b. w Warszawie, pobyt swój opisał w całostronicowym artykule, w którym wypowiedział poglądy podobne do tych, jakie głosi Zygmunt Wasilewski, że Warszawa nie ma własnego oblicza duchowego, brak jej trzonu cywilizacyjnego wskutek nadmiaru krajowych cudzoziemców. Na mocy specjalnego statutu, redaktorem „*De Maasbode*“ jest zawsze ksiądz, obecnie obowiązki te pełni wielebny ks. dr. J. Witlox. Nakładem „*De Maasbode*“ ukazują się 42 pisma prowincjonalne katolickie. Jest to więc olbrzymie ognisko prasy katolickiej, promieniujące na cały kraj. Wogóle katolicy holenderscy rozporządzają 36 dziennikami [1]), 7 pismami ukazującemi się 3—4 razy tygodniowo, 65 pismami o treści ogólnej, ukazującemi się raz lub dwa razy na tydzień; nadto wychodzi jeszcze 301 czasopism katolickich, poświęconych najprzeróżniejszym sprawom.

Prasa katolicka w Holandji zajmuje więc poważną pozycję. Powstał też Związek dyrektorów dzienników katolickich, a w listopadzie r. 1927 ukazał się pierwszy zeszyt organu Związku „*Diaria Catholica*“. Aktywność Związku, ogólna obrona interesów prasy katolickiej wpłynęły na to, że katolicki Związek prasy uzyskał dwa miejsca w ogólnym, neutralnym Związku prasy holenderskiej. Wśród celów, do których dąży „Związek holenderskiej prasy katolickiej“, jest między innemi: uznanie wielkiego kulturalnego znaczenia katolickiej prasy codziennej jako przedsiębiorstwa, uznanie prasy katolickiej w służbie publicznej, podniesienie znaczenia kat. prasy w stosunku do władz i urzędów publicznych, do biur ogłoszeniowych i do ogłaszających się; sprawa katolickiego biura prasowego. Różne akcje w kierunku ogólnych spraw prasowych Związek prasy katolickiej prowadzi w porozumieniu z holenderskim Związkiem dziennikarzy katolickich, który powstał w r. 1902. Współpraca tych dwu Związków dała poważne rezultaty prasie katolickiej. Oba Związki starają się między innemi o utworzenie w Akademji handlowej w Tilburg katedry dla kształcenia dziennikarzy. Związek dziennikarzy katolickich na 1 stycznia r. b. liczył 218 osób.

Katolicka prasa w Holandji, liczącej zaledwie 8 miljonów mieszkańców [2]), stanowi idealny wzór do nauki. Żywy przykład.

WŁADYSŁAW WOLERT

---

1) Dzienników w Holandji jest wogóle około 90.

2) Katolików trzecia część ogółu ludności.

GÓRNOŚLĄSKI POETA NARODOWIEC

(W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ZGONU)

NIE była górnośląska gleba podłożem sprzyjającem rozwojowi poezji polskiej ani w wiekach ubiegłych, ani w niedawnych czasach. Poeci, urodzeni na niej, wcześnie wchodzą w jarzmo służby lokalnym lub patrjotycznym potrzebom, a jeżeli stąd czerpią siłę i znaczenie w kole swych górnośląskich czytelników, to cierpi także na tem ich artyzm.

Jest zaś tych poetów niewielu, choć każdy działacz oświatowy uważa sobie za obowiązek odzywać się nietylko prozą, lecz także wiązaną mową do bliższych ziomków. Z tych, którzy wyłączniej hołdowali rymom, wymienić należy jako wybitniejszych, począwszy od połowy XIX w., z duchownych: ks. Antoniego Stabika, ks. Konstantego Damrotha (Czesława Lubińskiego), ks. Norberta Bończyka i żyjącego jeszcze ks. prałata Aleksandra Skowrońskiego, a ze świeckich: kowala Juljusza Ligonia, robotnika Jana Kupca, robotnika Augustyna Świdra i prawnika Jana Nikodema Jaronia.

Spory o rangę u potomności tych wierszopisów śląskich mają już swoją historję; w każdym razie ustaliły się jako nazwiska szczerych poetów i mniej lub więcej świadomych artystów trzy: ks. Damrotha, ks. Bończyka i z młodszego pokolenia Jaronia.

I

Najstarszy z nich działalnością („Wianek z Górnego Śląska", poezje Czesława Lubińskiego, Chełmno 1867) ks. Konstanty Damroth (ur. 1841, zm. 1895) jest poetą wyłącznie lirycznym, później od niego wystąpił ks. Norbert Bończyk (ur. 1837, zm. 1893) jako epik dwoma poematami: „Stary kościół Miechowski", Bytom 1879 i „Góra Chełmińska", Wrocław 1886. Liryka polska Bończyka: „Chwasty z własnej zagrody", przeszła bez echa; Bończyk dla ogółu jest tylko epikiem. Najmłodszy z trójcy: Jan Nikodem Jaroń (początkowy pseudonim Nikodem Arjos lub Arjos) nadaje się pozornie na dopełnienie jej jako dramaturg, gdyż znane, bo książkowo wydane jego utwory („Wywłaszczenie", Lwów 1912; „Konrad Kędzierzawy", Opole 1920 i „Wojsko św. Jadwigi", Katowice 1931), mają formę dramatyczną. W rzeczywistości jednak Jaroń jest przedewszystkiem lirykiem i to nietylko ze względu na wybitną liryczność jego dramatów, lecz także ze względu na spory poczet (około 140) jego utworów lirycznych, pozostających dotąd przeważnie w rękopisach.

Jeżeli idzie o zestawienie Jaronia z obu poprzednimi poetami śląskimi, to nietylko lirycznością swego talentu, lecz także uświadomieniem narodowem pokrewny jest ks. Damrothowi. Ks. Bończyk, jak to zauważył już przed 36 laty J. K. Maćkowski (M. „Dwaj szląscy poeci". „Dziennik Poznański" nr. 297 z r. 1895 i 1, 3, 4, z r. 1896), — „mimo chwilowego uniesienia, a nawet w chwilach uniesienia nigdy nie opuszczał stanowiska centrowego, nigdy w życiu ani w polityce nie sympatyzował z ruchem Odrodzenia. W nim dopiero począł się budzić duch polski, w ks. Konstantym odżył całą siłą... Ks. Damroth to już nie Szlązak partykularzysta, jakim był ks. Bączek". Ale ta różnica między Bończykiem i Damrothem nie istniała bez przyczyny. Bończyk nie wyjrzał nigdy poza opłotki górnośląskie do Polski, koleje życia zaś Damrotha zetknęły go z trzema dzielnicami. Dzięki bowiem pobytowi w szkole ludowej w Paradyżu w Poznańskiem, dzięki kilkakrotnie spędzonym w Kielcach wakacjom podczas lat gimnazjalnych i dzięki trzynastoletniej działalności jako dyrektor seminarjum nauczycielskiego w Kościerzynie na Pomorzu, nie czuje się Damroth li tylko Ślązakiem, lecz staje się Polakiem, którym okazuje się zwłaszcza w pracy pisarskiej, zasługując sobie na konfiskatę „Szkiców z ziemi i historji Prus Królewskich" przez sądy pruskie. Działalność tę, zakonspirowaną pod pseudonimem Czesława Lubińskiego, oddzielał jakoś od pracy pedagogicznej, w której umiał zadowolić władze pruskie. Tego rozdziału duszy niema całkiem u Jaronia.

Jeszcze jedna cecha zbliża Jaronia i Damrotha, a jest nią mniej może samorodne natchnienie, niż u Bończyka. Natchnienie tego epika górnośląskiego jest bardziej swojskie, co mu jedna z różnych powodów wielbicieli, ale to cnota z konieczności. Bończyk interesował się mało literaturą i ruchem literackim w Polsce. Do swoich epickich utworów przystępował, znając zaledwie „Pana Tadeusza" i może niektóre gawędy poetyckie (Fr. Morawskiego, Pola i Syrokomli). Stąd samodzielność talentu nieco przypadkowa, surowość natchnienia i pewien prymitywizm artystyczny, który ocenił już Kraszewski, pisząc o „Kościele Miechowskim": „Przy odrobinie starania mogło z tego urosnąć małe arcydzieło, a tak jest to nader nęcące *curiosum*. („Biesiada Literacka" z r. 1879).

Inaczej ks. Damroth, który stara się utrzymać na tej wyżynie, na jakiej stała polska liryka lat sześćdziesiątych w kraju, a wpływ poezji niemieckiej, zwłaszcza zaś Lenau'a, umiejętnie spożytkowuje dla wzbogacenia zasobu motywów i nastrojów.

Jeżeli Damroth świadomie raczej niż nieświadomie zapoczątkował łączność poezji górnośląskiej z ogólnopolską, to godnego następcę znalazło dopiero w Jaroniu.

II

Wspomniane przez Maćkowsiego odrodzenie polskości na Górnym Śląsku miało dwie fazy. Pierwsza z nich, zapoczątkowana w r. 1848 podczas „wiosny ludów", której pierwszym przedstawicielem w polityce jest ks. Szafranek, przybliżyła do masy ludowej nieliczną garstkę inteligentów, przeważnie księży i niektórych nauczycieli (najbardziej znani — to Józef Lompa i Karol Miarka). Faza to obronna, którą możnaby nazwać etnograficzno-językową. Uświadomienie ogranicza się do obrony języka i obyczaju, a od czasu walki kulturnej także wiary katolickiej. W walce tej katolicyzm, nawet u księży niemieckich, szuka pomocy w języku i ludzie polskim, zadzierżga się na długie lata nienaturalny nieco związek polskości górnośląskiej z centrum niemieckiem. Ta nienaturalność ujawnia się coraz dobitniej w miarę słabnięcia walki kulturnej; trzeba było wybierać między partykularyzmem śląskim, który musiał doprowadzić do germanizacji, a wyjściem poza opłotki dzielnicowe, jak

to uczynił już poniekąd ks. Damroth. Przez lat przeszło 20 rodzi się nowy porządek, nowa faza uświadomienia polskiego na Śląsku. Pracują nad nią ostrożnie, nie występując zbyt zaczepnie, na polu dziennikarskiem wielkopolanie, przybyli na Śląsk, jak dr. Franciszek Chłapowski, ks. Stanisław Radziejewski, J. K. Maćkowski i Bronisław Koraszewski, żeby wymienić najstarszych, ale zmienić się musiała taktyka, gdy poczęła dorastać młoda, rodzima inteligencja górnośląska, łącząca się z zapałem z życiem narodowem polskiem. Najstarszymi są ś. p. dr. Józef Rostek (ur. 1859 um. 1929) i ś. p. O. Euzebjusz Stateczny (ur. 1864 zm. 1921), ale w ślad za nimi nadchodzi jeszcze młodsze pokolenie, którego eponymem miał stać się Wojciech Korfanty, przez swój wybór na posła i wstąpienie do Koła Polskiego w Berlinie w r. 1903. Tak więc na przełomie wieku XIX i XX ugruntowała się nowa faza życia polskiego na Górnym Śląsku, której miano: świadomość narodowa i łączność z Polską, a znamienną cechą praca nietylko na wsi, lecz wśród robotników w ośrodkach przemysłowych. Jest to okres walki nietylko odpornej, lecz także zaczepnej wobec germanizacji, a trybunami dziennikarskiemi są kolejno: „Górnoślązak", „Polak", „Gazeta Ludowa" w Katowicach i t. d. Możnaby powiedzieć, że wtedy umarł Gustaw etnograficzny, a narodził się Konrad narodowy na Górnym Śląsku. Przedstawicielem tego typu górnoślązaka-narodowca polskiego jest w poezji i w życiu właśnie Jan N. Jaroń; nie o lat kilkadziesiąt, lecz o całe wieki wydaje się oddalona ta epoka, w której ks. Pressfreund mógł twierdzić, że „chłopek górnośląski ma język polski, ale serce pruskie".

III

Jan Nikodem Jaroń urodził się dnia 3 maja 1881 r. jako syn chłopa w Jastrzygowicach w pow. oleskim, później wraz z rodzicami przeniósł się na rolnicze przedmieście Oleśna. Rodzice, chcąc z syna dochować się księdza, wysyłają go do gimnazjum w Bytomiu, lecz młodzieniec nie kończy go, popadłszy w zatargi z profesorami, zapewne na tle wzrastającego coraz więcej uświadomienia narodowego. Lektura utworów polskich, początkowo dorywcza, bez wyboru, potem coraz celowsza, zawsze jednak nieco chaotyczna, budzi drzemiącą w nim żyłkę poetycką. Z chłopskim uporem przebija się dobrowolny zbieg z bytomskiego gimnazjum przez życie, udziela lekcyj i sam się do egzaminu dojrzałości gotuje, lecz w trudnych warunkach zapada na piersi. Aby się leczyć, udaje się do Davos w Szwajcarji, Bóg wie, za cenę jakich wyrzeczeń się i ofiar, lecz tam „rozbiła się nad nim bania", jeżeli nie z poezją, to przynajmniej z rymami i podnietami poetyckiemi wiosną r. 1904. W następnym roku zdobył upragnioną „maturę" w Badenie i zapisał się na wydział prawny uniwersytetu wrocławskiego, lecz tym krokiem pogłębił nieporozumienie z domem rodzicielskim. Skazany na utrzymanie się o własnych siłach, przyjmuje najpierw miejsce guwernera u pp. Morawskich w Turwi pod Kościanem i tam pod wpływem lektury szkicu historycznego prof. Wacława Sobieskiego („Zapomniany bohater śląski") tworzy pierwszy zarys dramatu: „Konrad Kędzierzawy". Nie jest to, prawdopodobnie, pierwszy jego utwór dramatyczny, gdyż zapewne poprzedziła go komedja „Eleusis", pozostająca dotąd w rękopisie, do której podnietę dał zaczynający się na Śląsku ruch Elsów, zakończony wnet procesem o tajne stowarzyszenie.

O druku swoich utworów marzył Jaroń mimo bardzo ciężkich warunków życia i w czasie guwernerki w Ruszczy pod Krakowem, w lecie r. 1906, przepisuje 100 swoich drobniejszych utworów jako zbiór p. t. „Z pamiętnika Górnoślązaka", dodając prozaiczną przedmowę, wyjaśniającą, dlaczego chce wnieść ton śląski do poezji polskiej. Z polskością złączony jest już na zawsze; przebył próbę ogniową w „domu hrabiów" galicyjskich, gdyż z kolei guwernerował w Małopolsce. Tej próby nie przetrzymała polskość kilku innych górnoślązaków, lecz Jaroń umiał już odróżniać między Polską galicyjskich panków, a nową Polską demokratyczną i szczerze narodową, której odtąd służy. To jest jego bóstwo najwyższe, ale szereg pomniejszych bóstw (Temida, której był dorywczym wielbicielem, Muzy, których wyrzec się nie umiał i Pedagogja, której przymusowo się poświęcał) pomnaża Eros, zwykle nieszczęśliwy. Z utworów tego czasu wyróżnia się cykl satyryczny, o nieco tępem ostrzu: „W domu hrabiów" i wiązanka sonetów erotycznych: „Sezam". W r. 1908 przesiewa swój dorobek poetycki i wybór z niego, przepisany jakby do druku, przesyła redakcji „Zarania Śląskiego", kwartalnika wychodzącego pod redakcją dr. E. Farnika od r. 1907—1912 w Cieszynie. W tem czasopiśmie ukazało się 12 utworów Jaronia, przeważnie pod pseudonimem Arjosa, powstałych po większej części o kilka lat wcześniej.

Wreszcie poeta pomyślał o bardziej systematycznych studjach; zdobywając z trudem środki utrzymania, uczęszcza od r. 1910 na uniwersytet we Lwowie i po dwu latach zdobywa doktorat prawa, narazie bezużyteczny, gdyż chcąc zerwać z nienawistną przynależnością do Prus, zrzekł się obywatelstwa pruskiego, a innego nie uzyskał. W tych latach pojawiają się też rzadkie uśmiechy losu; jednym z nich jest życzliwość wielkiego i wielbionego oddawna przez Jaronia poety, Jana Kasprowicza, innym druk ostatnich utworów, a mianowicie 7 nowel w r. 1911 w katowickiej „Gazecie Ludowej", piśmie reprezentującem wówczas kierunek narodowo-demokratyczny, oraz dramatu „Wywłaszczenie" we Lwowie u Altenberga pod pseudonimem Arjosa. Dramat ten, oparty o rzeczywiste wydarzenie, o tragedję inwalidy Chruszcza, który w r. 1906 pod uciskiem ustawy osadniczej zamordował żandarma i popełnił samobójstwo (szerzej o tem w nr. 2740, 2742 i 2746 katowickiej „Polonji" z r. 1932), — jest nietylko ze względów artystycznych, jako najtęższy utwór dramatyczny górnośląski, godny uwagi, lecz także zawiera najistotniejsze przekonanie Jaronia, że pęd Gónego Śląska ku Polsce oznacza upadek Prus:

> „Teraz dopiero widzę należycie,
> Że Prusom w polityce się nieszczęści.
> Potęga Prus zachwieje się w swym szczycie,
> Gdy się podniosą krocie takich pięści.
> Za to do Polski nowy lud przyrasta
> I nowe do niej przyrastają części".

Po r. 1912 poeta i prawnik w jednej osobie zostaje praktykantem rolniczym, a w ciężkich chwilach chroni się na plebanje do przyjaciół księży. Na probostwie we Włochach w pow. kluczborskim wykończył w r. 1917 „Konrada Kędzierzawego" w tym kształcie, w jakim wyszedł drukiem w 3 lata później w Opolu. Pomyślniej dla poety ukształtowało się życie, gdy otrzymał posadę w konsulacie

austrjackim we Wrocławiu, a pełnią życia począł się rozkoszować, krótko, niestety, gdy spełniło się marzenie tylu lat i po przegranej przez Niemcy wojnie, otwarła się Górnemu Śląskowi droga do Polski, chociaż dopiero przez plebiscyt. Jaroń staje do pracy jako redaktor „Gazety Opolskiej“ i współpracownik „Nowin“ w Opolu, jako pracownik w Biurze Informacyjnem dla Koalicji w Katowicach, następnie jako działacz plebiscytowy w Bytomiu i pow. kluczborskim, a wreszcie jako uczestnik trzeciego powstania górnośląskiego na froncie północnym. W twórczości zaznacza się ten okres kilkunastu wierszami okolicznościowemi i „Wojskiem św. Jadwigi“ utworem scenicznym, który wyszedł drukiem w r. 1931.

Po tych czasach górnych i chmurnych mógł oddać się pracy dla własnej przyszłości. Jako aplikant sądowy w Ostrowie poznańskim rozpoczyna drogą wyrzeczeń się i niesłychanej oszczędności gromadzić środki na założenie kancelarji adwokackiej na polskim już Górnym Śląsku. Odbiło się to na wątłem już zdrowiu i tragicznego znaczenia nabierają wyrzeczone do mnie słowa jednego z przyjaciół Jaronia, górnoślązaka: „A gdy miał już wreszcie pełną skrzynkę ubrań, musiał umrzeć“. Lecz tej śmierci towarzyszył triumf umiłowanej sprawy; umierał wprawdzie w szpitalu na chorobę sercową, lecz na oswobodzonym już Śląsku, po wkroczeniu wojsk polskich, dnia 1 sierpnia 1922 w Lublińcu, mieście rodzinnem swego poprzednika w liryce, ks. Damrotha.

IV

Z twórczości Jaronia znane są szerszej publiczności tylko 3 jego dramaty, gdyż 25 drukowanych utworów lirycznych znajduje się w mało dostępnych czasopismach. Nieszczęściem dla sławy poety było wystawienie przed kilku laty w Katowicach jego „Konrada Kędzierzawego“ w inscenizacji modnego inscenizatora warszawskiego. Wynikiem tego zabiegu było odstraszenie publiczności od lektury. Zapewne na taki eksperyment nadawało się więcej „Wojsko św. Jadwigi“, a może jeszcze więcej „Wywłaszczenie“, w każdym razie trzeba było o wiele więcej pietyzmu, znajomości stosunków miejscowych, pracy i mądrej reżyserji ze względu na silny pierwiastek liryczny.

Właściwe oblicze poetyckie Jaronia objawia się w jego wierszach lirycznych. Początkowo poeta idzie w cudze ślady, zależność od lektury jest znaczna, potem pojawia się pewna myśl przewodnia, którą jest przyswojenie swojej literaturze regjonalnej zdobyczy, w jakie obfitowała poezja polska, wypełnienie próżni kilkudziesięcioletniej od wystąpienia Damrotha, a właściwie kilkusetletniej, bo od zerwania ścisłej łączności Śląska z Polską. To nadrabianie przeszłości powoduje zjawisko, wyglądające pozornie na eklektyzm, są bowiem utwory, trącące renesansem, barokiem literackim, a przedewszystkiem romantyzmem, obok utworów przynależnych wyraźnie do początków XX wieku. Poezja ta, przeznaczona przedewszystkiem dla Śląska, odznacza się czystością treści niemal dziewiczą i świadomą prostotą wyrazu poetyckiego, mimo starania o wykwintność formy. Poeta bowiem, może dzięki trudnościom w drukowaniu swych wierszy, przerabia je często, cyzeluje i zużywa w większych jednostkach, np. w cyklach lub jako wstawki do dramatów, zwłaszcza zaś do „Konrada Kędzierzawego“.

Z poezji tej przemawia Polak bez zastrzeżeń, choć pamiętny swego górnośląskiego pochodzenia, narodowość góruje stale nad ludowością, której głos brzmi silniej tylko wtedy, gdy jest zgodny z uczuciem narodowem. Rzadkie są echa uczuć lokalnych jak np. powtórzenie w r. 1919 w wierszu „Żołnierzowi Polskiemu“ częstego na Śląsku i poza nim zarzutu:

„Gdzieś była Polsko, gdy po śląskie niwy
Sięgnął król czeski, panowania chciwy?
Czemużeś potem patrzyła spokojnie,
Gdy nas w potrójnej Prusak jarzmił wojnie?“

Ale to wyjątek, nawet w tym wierszu zatarty patrjotyzmem innych zwrotek. Postawa wobec Polski jest stale taka, jaką w „Widzeniu ks. Franciszka“ z r. 1917 ma występujący tam ksiądz górnośląski, ostrzegający udręczony w czasie wielkiej wojny naród przed proklamacją dwu cesarzy germańskich:

„Witaj wolny narodzie,
Co się wrogów nie zlękniesz
I przed obcym biskupem
Ani królem nie klękniesz“.

Przeważa w całej poezji Jaronia pierwiastek patrjotyczny, wyrażający się często zwrotem ku średniowieczu, gdy „Śląsk był polskim cały“, a naczelnem, niepokojącem często poetę, jest zagadnienie roli św. Jadwigi i jej synów, Konrada Kędzierzawego i Henryka Pobożnego w związku z legendą o rycerzach trzebnickich. Rozwiązywanie tego zagadnienia trwa od „Zaklętych rycerzy“, przez „Konrada Kędzierzawego“ do „Wojska św. Jadwigi“, w którem wspomniane postacie przeobrażają się w symbole uczuć i prądów, nurtujących przez wieki Śląsk.

Ludowość i regjonalizm nie jest dla Jaronia przedmiotem popisu, dlatego korzysta powściągliwie i z narzecza i z tematów ludowych. W rękopisie spoczywają dotąd najlepsze jego w tym rodzaju utwory: „Śmierć dziecka“ i kilka warjacyj piosenek ludowych.

Erotycznych utworów różnej wartości jest wiele i do nich przedewszystkiem stosuje się określenie o dziewiczości tej poezji górnośląskiej.

Bardzo silne są echa klasyczne, zarówno w tematach jak w kompozycji i wyrażaniu się poetyckiem, poczynając od zawierającego przelotny program twórczości „Zarania“, a kończąc na tak osobistym trenie na śmierć brata, jakim jest „Dzień listopada“.

Jaroń kocha przyrodę, zwłaszcza wiejską, umie opiewać jej nawet najcodzienniejsze oblicze, zwłaszcza silnie przemawia do niego urok nocy. Jest to dziecko ludu śląskiego, bardzo wrażliwe i czułe, czasami nawet czułostkowe. Wzrok ma otwarty na wszystko, bodaj nawet z tego niełatwo dającego się zaspokoić i opanować głodu wrażeń płynie słabość i nieefektowność jego poezji.

Na dziesiątą rocznicę zgonu Jaronia przygotowałem do druku 137 jego utworów lirycznych, przeważnie z rękopisów. Wydaniem tego zbiorku zajmuje się ks. dr. Emil Szramek w Katowicach, jeżeli znajdzie środki finansowe, które poecie przełomu narodowego winien jest Górny Śląsk. To wydanie uzasadni niejedno moje zdanie o jego twórczości.

WINCENTY OGRODZIŃSKI

NA WIDOWNI

Rzeczywistość i czarna magja. — Podział świata polskiego. — Inteligencja polska bawi się literaturą. — Magowie, czarodzieje, pigmejczycy i polski *homunculus*. — Noc Sabatowa. — Czy koniec literatury narodowej?

CZYTAM dzienniki z ostatnich dni — co mi w oko wpadnie.

Tow. Kredytowe Ziemskie w Warszawie wystawia w grudniu na licytację około 500 majątków ziemskich. Z ordynacji Maurycego hr. Zamoyskiego przechodzi na własność państwa 23,000 hektarow ziemi na pokrycie zaległych podatków. Wartość mniej więcej 23 miljony zł. Państwo stanie się wkrótce największym w Polsce obszarnikiem. Według danych państwowego urzędu pośrednictwa pracy z dn. 25 listopada liczba zarejestrowanych bezrobotnych wzrosła w ciągu ostatniego tygodnia o 17,000. Iluż niezarejestrowanych? W „Głosie Narodu“ (nr. 323) czytam pełen prostoty opis stosunków na wsi (Mał. Zach.):

„Na przednówku 1933 r. płacił małorolny i wogóle potrzebujący „dokarmiania wiosny“ po 29 zł. za 100 kg. żyta, przejściowo nawet w niektórych okolicach 32 zł. Po żniwach za tę samą ilość ziarna otrzymywał atoli tylko 11 zł. Kto zatem „pożyczył“ — u handlarza małomiasteczkowego 100 kg. ziarna, oddawał mu „z nowego“ 300 kg., tracąc tem samem wszelką możność racjonalnej gospodarki. Aby się nad tem długo nie rozwodzić, następstwem tej „konjuktury“ jest niemal całkowite wyczerpanie się zapasów żywnościowych naszego włościanina tak, że przednówek 1934 r. rozpocznie się nie w kwietniu, ale już w styczniu, a łatwo sobie dośpiewać, co z tego nieodwołalnie wyniknąć musi. Już dzisiaj zapasy zboża chlebowego są na wsi bardzo małe. Dodać bowiem należy, że na wsi naszej klęska bezrobocia jest całkowitą, a dla małorolnego i bezrolnego nie istnieje niemal ani jedno źródło zarobku. Kto tego nie widzi lub widzieć nie chce, jest ślepy lub lekkomyślny. Na jednej z rozpraw karnych przed sądem przysięgłych w Krakowie jeden z podsądnych wykazał, że w ciągu całego roku miał tylko 5 dni pracy, zarabiając najwyżej 1 zł. dziennie.“

Chłopi na wsi jadają chleb, o ile go kupią w sklepiku, a sprowadzany jest z miasta. W sklepiku wiejskim sprzedają cynamon. Komu to potrzebne? Zamiast omasty, aby można było przełknąć. W miasteczku w sklepie żelaznym stoją kosze z jajami. Jest to kasa, bo chłopi płacą jajkami. Gdyby nie poczciwe kury, chłop nie miałby możności nabycia czegokolwiek. Złote jaja!

Na tem tle zarysowuje się postać sekwestratora. Skarb byle jaja nie weźmie. Jedyny niemal ruch w interesie to licytacja i na ru — i na nieruchomości. Obecnie, jak czytam, władze zwróciły się do policji, aby czuwała nad licytacjami i rozbijała bandy, które zapomocą terroru opanowały całkowicie instytucję licytacji. Terror polega na tem, że „kupcy“ (teraz tak się pisze o żydach), będący w zmowie, tłoczą się i każdego śmiałka, któryby cenę chciał podnieść, kłują w pośladek szewckiemi szydłami, lub co gorzej — żyletką wycinają mu prostokąty na paltocie. W ten sposób wszystkie ruchomości przechodzą za bezcen do „kupców“, z jawną szkodą dla skarbu, któremu zazwyczaj licytacje nie pokrywają kosztów sekwestru. Gdyby nadal tak być mogło, to gdy dojdzie za jakiś czas do licytowania ruchomości ordynacji Zamoyskich, łatwo mogłoby się stać, że słynne zbiory w pałacu Błękitnym, bibljoteczne i muzealne przeszłyby za parę złotych do „kupców“. Znakomity kolekcjonista naszych czasów, p. Patek przybyłby umyślnie z Ameryki, gdzie teraz kompletuje, ale dotknięty do żywego szydłem, musiałby się z licytacji wycofać i wrócić do Ameryki.

To jest tło ogólne ekonomiczne. Ale na tem tle zarysowują się interesujące kompleksy psychologiczne. Zastanawiający jest np. kompleks negatywności wobec duchowieństwa i spraw Kościoła Katolickiego. Tygodnik łomżyński „Życie i Praca“ w nr. 45 zanotował sześć wyroków administracyjnych, skazujących księży. Ks. Choromański 500 zł. grzywny za urządzenie zebrania parafjalnego, ks. Szepietowski za rzekome niezdjęcie kapelusza podczas hymnu narodowego — tyleż, ks. Idzikowski za krytykę postępowania policji — 100 zł. i t. d. Albo tak sensacyjny telegram z Łańcuta: „Ks. Bachota skazany na 7 miesięcy za kazanie, wygłoszone na jubileuszu posła Witosa“ („Gaz. Warsz.“ nr. 344). Zakreśliłem też okólniki pp. kuratorów w sprawie niedopuszczania do czytelń szkolnych „Przeglądu Katolickiego“ i „Przewodnika Katol“.

Należałoby wymienić inne kompleksy, przedewszystkiem idjosynkrazję do obozu narodowego, znaczoną w dziennikach wielkiemi tytułami o aresztowaniach w Poznaniu, Toruniu redaktorów i działaczy narodowych. Czyż mam to wszystko wymieniać? Dalej kompleks młodzieży uniwersyteckiej z ową eksmisją Bratniaka, czarną listą i t. p. Ze szczególnym podziwem czytam wieści z Małopolski wschodniej.

Pomijam dla braku miejsca najbogatszy dział informacyj, dotyczący żydów, robiących w Polsce właśnie teraz tak bajeczną karjerę polityczną. Oni jedni zbierają plon ciężkiej pracy „sanacji“, okupywanej tak wielką ofiarą, jak utratą zaufania i szacunku u rodaków. Ostatnie jej czyny — to rozwiązanie organizacji polskiej, mającej na celu rozwój polskiego mieszczaństwa i wreszcie zawarcie — na przekór tej idei — sojuszu wyborczego z żydostwem, nawet nacjonalistycznem, sojuszu, który odda miasta ostatecznie pod panowanie żydów.

— — — — — — — — — — — — —

O wszystkich tych faktach, które tak pobieżnie zaznaczyłem, niema żadnych wzmianek w prasie sanacyjnej. Są to dzienniki doskonale uposażone materjalnie, mogą więc wyrzec się soczystości informacyjnej, dla której wogóle dzienniki są brane do ręki. Pełne kasy pozwalają dziennikom sanacyjnym stosować na wielkich pustyniach swych szpalt system nawodniania informacjami egzotycznemi. Specjalni wysłannicy piszą tam o stosunkach, panujących w obcych krajach, choćby dalekiego wschodu. Egzotyzm zainteresowań literackich sprawia, że czytelnik widzi palmy i garbate nosy wielbłądów, gdy wzrok jego szuka Doli polskiej wśród cichych rzędów wierzb wsi mazowieckiej, kujawskiej czy krakowskiej.

Mniejsza o wielbłądy, ale te nosy garbate publicystów, szczujących Dolę naszą psami! Podróże dają prasie sanacyjnej charakter pewnej literackości, bujającej ponad konkretami rodzimemi. Lubią tam czytać o podróżach dyr. Góreckiego, szukającego po świecie swoich kombatantów i obzierającego się za siebie, czy z daleka widać piękny gmach Banku gospodarstwa krajowego.

Literackość tej prasy wiąże się ściśle z charakterem legendarnej epoki, którą przeżywamy. Zawsze dzieje Polski zaczynają się od legendy. Jakżeż było za tej dawnej Polski, królewskiej? Tak samo musiało być mało zboża, skoro myszy rzuciły się na człowieka, tak samo przyszli aniołowie do Piasta... Tu już inaczej, bo nic się w hi-

storji ściśle nie powtarza; sprawa Piasta inny wzięła obrót. Grunt, żeby była legenda, a tutaj właśnie wielka jest rola literatury. Dawniejsza Polska była narodowo jednolita; nacjonaliści dzisiejsi nie mogą o tem zapomnieć. Obecna cywilizacja polska jest dwoista: polska i żydowska. Trzeba się jakoś podzielić; ale jak? Całość cywilizacji składa się z dwu części: *Wahrheit* i *Dichtung*. My — powiadają żydzi — weźmiemy sobie to pierwsze, a Polakom damy resztę. Jak w piosence myśliwskiej — towarzyszu mój.

Zasadą dawniej było, że twórczość duchowa wiązała się ściśle z rzeczywistem życiem; poezja była narodowa i stała się siłą uświadomień narodowych, czynnikiem nacjonalizmu. Trzeba ją teraz pchnąć na tory uniwersalizmu, a nadewszystko zatruć cynizmem, zrobić zabawką sportową. A z drugiej strony wmówić w społeczeństwo polskie, że literatura i sztuka jest probierzem wartości inteligencji i jedynem godnem jej zajęciem, całkowicie wyczerpującem jej ambicje.

Na te ciche teorje i głośne praktyki „sanacja" dała się wziąć dopiero teraz i wciela kulturę artystyczną już „miarodajnie" do systemu *circenses*.

— — — — — — — — — — — — —

I oto jesteśmy po drugiej stronie prasy: w ruchu literackim. Nigdy nie było w Polsce tylu pism literackich i takiej mnogości zbiorków poezyj, wydawanych bez wyboru przez żydowskie firmy księgarskie. Nie będę tutaj wchodził w wartość literacką tego piśmiennictwa. Wyręczył mnie w poprzednim numerze „Myśli Narodowej" St. Pieńkowski, który w artykule „*Ars vulgivaga*" świetnie scharakteryzował żydowską szkołę poetycką. Wskażę tylko na społeczne znaczenie tej roboty.

Przedewszystkiem zaleca ona zupełną pogardę, a nawet nienawiść do tego wszystkiego, co jest istotą życia zbiorowego. I to jest przyczyną upadku literatury, na którą skarży się nawet St. I. Witkiewicz, jeden z najniespokojniejszych duchów literackich. W sprawozdaniu z jego odczytu widzę cytowane takie słowa: „rośnie straszne pokolenie dzikusów... intelekt jest zaprzepaszczony... literaci— banda błaznów — bawią zbydlęciały tłum"... Nie śmiałbym sam tak otwarcie tego wyrazić, ale stało się: nie protestuję.

Wyjąłem właśnie z opaski nadesłany ze Lwowa pierwszy numer pisma społeczno-literackiego „Sygnały". Papier welinowy... Ale czy można poważnie traktować ruch umysłowy, wywieszający na sztandarze jako przechwałkę:

„Wychodzimy na świat bez programu". „Odważamy (!) się wyjść bez sztucznie stworzonego programu. I wychodzimy! Chcemy przekonać wszystkich, że różnica w poglądach nie przeszkodzi nam w dyskusji nawet w kwestjach najbardziej zasadniczych. Probujemy uczyć kultury praktycznej. Szeroko i gościnnie otwieramy łamy każdemu"...

Tak się teraz pojmuje kulturę: niech każdy bzdurzy co może, a całość sama się złoży. Jaka ma być ta całość?—wszystko jedno. To też zeszyt welinowy zaczyna się od wiersza jakiegoś Poppera, a treścią wiersza jest liryka skazańca, stojącego pod szubienicą, a potem opis wierzgającego nieszczęśliwca. A liryka jest tego rodzaju:

Miłość do trzech pomarańczy. Fortepian szumiący winem.
Żołądek uderza mi w skronie haustami ciemnej malagi.
Czuję spóźnioną miłość do trzech nieletnich dziewczynek...

Jak tu składać życzenia młodzieńcom, którzy tak poczynają? Widocznie rozbestwienie jest modne, skoro dalej w wierszu Henryka Balka (pisał już studja polonistyczne!) czytam takie strofy:

Przyjacielu mój, czemu całujesz mnie dziko
pocałunkiem, co zawarł cały smak istnienia?
Czemu dajesz mi płonąć jako chutnym bykom?
Czemu się w jałowicę ponętną przemieniasz?

Wiersz ten zaadresowany jest do p. Leona Chwistka, którego literaci słuchają z otwartą buzią, kiedy ich buja filozofją, i kadząc mu a bijąc czołem, wołają: „Demon intelektu!".

Wynurzyły się bowiem na ów światek jakieś profety, od których bije ponura woń sekt. Poezję tego typu, jak wyżej, przetykają niewiadomego sensu i celu rozprawy metafizyczne. Taki Jerzy Braun z grupy mesjanicznej im. Wrońskiego redaguje obecnie już dwa pisma literackie, jedno z nich w Krakowie, drugie w Warszawie. Absolut to najdrobniejsza jednostka, którą operuje, nie mniej w piśmie jego w dziale kroniki, spotykamy tego rodzaju ważne wiadomości:

„Bronisław Ludwik Michalski wycofał z drukarni rękopis tomu liryk p. t. „Zielony cień" i zamierza, po gruntownych zmianach w układzie oraz po uzupełnieniu książki nowemi utworami, wydać ją pod innym tytułem.

Znany czytelnikom „Zetu" poeta, Stanisław Piętak, przygotowuje do druku powieść i zbiorek wierszy lirycznych. Tytuły jeszcze nie ustalone".

Jaki znowu Michalski? Co za Piętak? Takich pism, bujających inteligencję polską, aby broń Boże nie troskała się o polską rzeczywistość, jest kilkanaście, na czele zaś „Pion" z wielkim nakładem funduszu publicznego wydawany. W owych, bolszewickich w gruncie rzeczy „Sygnałach" znajduję informację o piśmie młodzieży sanacyjnej:

„Zanotować należy fakt, że „Państwo pracy" które dotąd gardziło literaturą i sztuką, a w każdym razie odnosiło się do niej z uprzedzeniem, zaczęło wydawać dodatek literacki „Kohorta", pod red. J. Czechowicza. Fakt ten łączy się z powszechnem, ogólnem rozbudzeniem się zainteresowań i potrzeb kulturalnych, wśród szerszych warstw społeczeństwa. Prąd ten, godny uznania, ma także oparcie w sferach rządzących, które obecnie z zapałem inicjują i popierają doniosłe imprezy kulturalne („Akademja Literatury", „Pion")".

Wszystkie te literackie publikacje są organami „współpracy" z rządem. „Sygnały" ogłaszają, obok poezyj, ankietę Boyowskiej Ligi Reformy Obyczajów, gdzie zadawane są czytelnikom szeregi tendencyjnych pytań, dotyczących wpływu rodziny, duchowieństwa i szkoły na wychowanie dziecka.

Jednocześnie pisma tego typu mają zadanie dokonania rewolucji w literaturze dawnej, w celu zdetronizowania czy odbronzowienia takich powag, jak Mickiewicz, Sienkiewicz, Wyspiański. W tej chwili w piśmie Akademji „Pion" zmaga się z Sienkiewiczem sanacyjny historyk Olgierd Górka, wykazując szkodliwy wpływ „Ogniem i mieczem". Robi się w ten sposób miejsce — jak słusznie zauważono — dla powieściopisarzy spółczesnych, którzy też pisują trylogje („Czarne skrzydła"). Ma być w ten sposób położony kres literaturze narodowej...

— — — — — — — — — — — — —

Wybaczcie to przydługie studjum o dobie obecnej. Chciałem wyjaśnić, dlaczego tylko w jednym odłamie prasy można się spotkać z zagadnieniami życia, pełnego cieniów i grozy; natomiast w drugim o tych faktach się nie wspomina. Bo dla tego drugiego odłamu istnieją tylko zagadnienia nowej „kultury". „Budujemy kulturę". Robimy homunkulusa...

O jakże to wszystko przypomina faustowską Noc Sabatową!

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NUDA DZIŚ WIEJE z frazesu o „kryzysie Ligi Narodów". Czytelnikowi nie chce się już o tem czytać. Wszystkie gazety powtarzają o tym kryzysie już od roku. Staje się to monotonne—ale wina w tem głównie gazet, że nie piszą więcej zajmująco. „Kryzys" bowiem, o którym mowa, dzisiaj nie jest ten sam, co przed rokiem—jest w o wiele pełniejszem znaczeniu słowa—kryzysem. Właściwie z siedmiu wielkich mocarstw dwa tylko: — Francja i Anglja są dziś czynnymi członkami genewskiej instytucji. Cztery są poza nią: Rosja, Stany Zjednoczone, Japonja i Niemcy. Piąte: Włochy od środy ostatniej formalnie tylko uważane być mogą za członka Ligi.

Prasa nasza nie dała należytego miejsca uchwałom Wielkiej Rady Faszystowskiej ze wspomnianej środy. Rada uchwaliła, że „dalsza współpraca Włoch z Ligą Narodów możliwa będzie pod warunkiem radykalnej reformy Ligi pod względem ustroju, organizacji i celów — w możliwie najkrótszym czasie". Wiadomo, że Włochom chodzi o to, aby kierownictwo Ligi oddane zostało statutowo wyłącznie wielkim mocarstwom, i aby celem głównym wysiłków koncertu było przeprowadzenie rewizji traktatów. Plany to niemożliwe: natrafią z pewnością na stanowczą opozycję Francji, a jak dziś można mniemać, i Anglji. Mussolini musi sobie z tego zdawać sprawę. Nie znaczy to jeszcze, aby w razie nieuskutecznienia reform w najbliższym czasie Włochy miały zaraz opuścić Ligę. Konsekwencja nie jest w wyższym stopniu cechą polityki zagranicznej Mussoliniego, niż polityki innych wielkich mocarstw europejskich. Ale bardzo możliwe jest, że Włochy niedługo także formalnie z Ligi się wycofają. Co wtedy? Czy Liga już ze szczętem przestanie istnieć? Zdaje się, że Francja i Anglja usiłowałyby do tego nie dopuścić, i z Ligą do ostatka zamierzałyby „współpracować". Takby sądzić można z głosów opinji w tych krajach.

W każdym razie już teraz instytucja genewska pozbawiona jest wszelkiego niemal politycznego autorytetu. Dodajmy: w oczach tych, co poprzednio w autorytet ten wierzyli. Takich, co uwierzyć weń szczerze chcieli, było niemało, a więcej jeszcze było takich, co dla swych celów swobodnie się frazeologją „ligo-narodową" posługiwali. Dziś to skończone. Liga jest tak osłabiona, że największy nawet cynik nie ma dziś interesu w pożyczaniu ze słownika tych frazesów. Przykry był widok, kiedy za czasów jeszcze Stresemanna obłuda stwarzała w Lidze iluzję jedności międzynarodowej. Dziś znikły te pozory harmonji: ale też uwydatnił się w całej pełni stan dzisiejszego rozbicia Europy. Żadna organizacja polityczna nie pretenduje dziś do roli symbolu rzeczywistej, głębokiej wspólnoty duchowej jej narodów...

REFORMA STATUTU LIGI w myśl postulatów włoskich miałaby jako jeden ze skutków oderwanie tej instytucji od Traktatu Wersalskiego, z którym w dzisiejszym swym kształcie prawnie nader ściśle jest związana. Jest to tylko fragment akcji włoskiej na rzecz „rewizji traktatów". Ciekawa rzecz, jak w tej mierze zmieniły się nastroje tam, gdzie przedtem o rewizji traktatów było najgłośniej, t. j. w Anglji. Publicyści najwpływowsi i najgłośniej szermujący za rewizją, obecnie zmienili zdanie. Przed kilku miesiącami uważali ją za najważniejsze zagadnienie w polityce europejskiej, dziś za najważniejsze uważają, żeby tej sprawy nie forsować, i z tem nie pilić: „Podniesienie sprawy rewizji granic teraz, albo w bliskiej przyszłości bezwzględnie musiałoby spowodować wojnę... Trzeba z tem poczekać do spokojniejszych czasów. Bo i cóż to znaczy? Mussolini tak chce zwrócić Tyrol południowy, jak Francja oddać Alzację i Lotaryngję. Sprawy korytarza polskiego, jak to wszystkim dobrze poinformowanym wiadomo, nie można załatwić bez wojny, chyba że Berlin i Warszawa porozumieją się same. To jest jedyna nadzieja rozwiązania. Przeciw naciskowi zzewnątrz Polacy... walczyliby do ostatniego". Oto próbka dzisiejszych poglądów angielskich bardzo gorących zwolenników rewizji. W istocie ostygli znacznie, choć „rewizjonistami" pozostają.

W związku z tem, więcej realistycznem spojrzeniem ciekawie wypada sąd publicysty angielskiego o apostole pacyfizmu ligowego, czechosłowackim ministrze spraw zagranicznych, Beneszu. „Dr. Benesz tyleż zdziałał, co najwięksi winowajcy dla poderwania autorytetu Ligi, mając stale zasady ogólne na ustach, a interesy lokalne na widoku. Toż i dziecka by grą taką nie oszukał — ta gra już dziś jest przegrana". Cytując to, dodajmy, że metoda osłaniania polityki egoistycznej transparentami z inwokacją do pryncypjów ogólnych została najznakomiciej wydoskonalona i wręcz do mistrzostwa doprowadzona — przez Anglików.

O ROMANTYZMIE I IDEI NARODOWEJ

(ODCZYT PROF. I. CHRZANOWSKIEGO)

KLASYCZNE w treści i formie odczyty prof. Ignacego Chrzanowskiego mają już sławę ustaloną. Znakomity uczony, świetny i opanowany mówca ma wyjątkowy dar wychowawczego oddziaływania na swoich czytelników i słuchaczów. Zasobny w bogaty aparat argumentów naukowych i krytycznych, mówi — rzecz dość rzadka u naszych uczonych — przejrzyście i z prostotą. Dlatego może na jego prelekcjach gromadzą się tłumy inteligentnej publiczności, którą prof. Chrzanowski umie tak łatwo zaznajomić z wynikami poważnych i trudnych dociekań naukowych.

Tematem ostatniego, niedzielnego odczytu prof. I. Chrzanowskiego w sali warszawskiej Rady miejskiej był romantyzm i jego stosunek do idei narodowej, ściślej — do idei narodowości. Odczyt swój rozpoczął prelegent pytaniem: Czy na ołtarzach, które zbudował polski romantyzm, płoną jeszcze ognie, czy pozostawił on po sobie, poza wartościami przejściowemi, inne jeszcze wartości, trwalsze, ponadhistoryczne? Treść i konkluzje odczytu dały na to pytanie odpowiedź twierdzącą. Nieśmiertelną zasługą romantyzmu był wielki rozwój uświadomienia narodowego, poczucie łączności między przeszłemi i przyszłemi pokoleniami; bunt przeciwko ciasnemu racjonalizmowi poprzedniego okresu oświecenia. Jeszcze w roku 1800 pierwszy prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ks. Jan Albertrandy, wyraził pogląd, że imię Polski wymazane zostało z liczby n a r o d ó w. Jakże szybko obalą ten po-

gląd pisarze doby romantycznej: Kazimierz Brodziński, który podniesie naród do godności bożego dzieła, Mickiewicz, gdy z katedry paryskiej oznajmi światu: „Duch ludzki musi pierwej przejść przez narodowości, zanim dojdzie do powszechności“ i „Narodowość to największe dzieło boże na ziemi“, Słowacki, którego Her Armeńczyk wciela się w coraz nowego Króla Ducha, pracującego dla idei narodowej, Norwid, gdy powie, że naród „jest wcieleniem żywem, organicznem, istotą rzeczy...“

Ten najpiękniejszy wyraz uświadomienia i ukochania narodu znajdujemy w rozprawie „O miłości Ojczyzny“ Karola Libelta, który rzekł słowa nigdy niezapomniane: „Kto się targa na narodowość, ten bluźni Bogu i podnosi rokosz“... Niechże słowa te dojdą tych, którzy szermują słowami „państwowość“ i „państwowy“, a boją się słów „narodowość“ i „narodowy“, jak djabeł święconej wody. Niechże przypomną sobie potępienie przez Lelewela tych, którzy wyemigrowali w eter kosmopolityzmu, tych, którzy zapominają, że państwo, jako wytwór ludzki, jest tylko środkiem do realizowania celów narodu, narodu – dzieła bożego.

Odczyt swój zakończył prof. Chrzanowski pięknemi słowami, które długo zachowają się we wdzięcznej pamięci słuchaczów: Świętych ogni, które romantyzm rozpalił na ołtarzu narodu, gasić nikomu nie wolno.

T. B. S.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO I NAUKOWEGO

W następnym zeszycie „Myśli Narodowej“ czytelnicy znajdą artykuł Romana Dmowskiego, specjalnie dla naszego wydawnictwa napisany.

*

W tych dniach ukaże się w handlu księgarskim nowa książka Romana Dmowskiego p. t. „Przewrót“.

*

Karol Hubert Rostworowski wybrany został radnym m. Krakowa z listy Obozu Narodowego w okręgu I. Śródmieście. Kraków ma dobrą tradycję powoływania do swej Rady Miejskiej najznakomitszych pisarzy epoki. W początku stulecia mandat radziecki miał tam również Stanisław Wyspiański.

*

Zbliża się setna rocznica powstania „Pana Tadeusza“. Mickiewicz ukończył pisanie tego dzieła 13 lutego 1834 r. W książce puścił je w świat tegoż roku w czerwcu. Pozycja bibljograficzna brzmiała w ten sposób: „Pan Tadeusz czyli Ostatni Zajazd na Litwie. Historja szlachecka z r. 1811 i 1812 we dwunastu księgach wierszem“. Wydanie Aleksandra Jełowickiego. Paryż 1834. 2 tomy.

Rocznica w Polsce nie minie bez echa. Oto za parę tygodni opuści prasę drukarską nowa monografja o „Panu Tadeuszu“. Autorem jej jest znakomity badacz twórczości Mickiewicza, profesor Uniw. Jagiellońskiego, Stanisław Pigoń. Tytuł dzieła: „Pan Tadeusz. Wzrost, wielkość i sława“.

*

Jeden z najpiękniejszych utworów Adolfa Dygasińskiego: „Beldonek“ ukazał się teraz w 4-m wydaniu. Jest to wydanie gwarantowane co do pełności i staranności, dokonali go bowiem córka autora i jej mąż, pp. Wolertowie. Dostać można tę piękną książkę we wszystkich księgarniach, a kosztuje tylko 4 złote. Jest to jedno z tych dzieł literatury polskiej, które będzie zawsze świeże, jak poezja ludowa i czytane będzie z upodobaniem przez wszystkich, zarówno przez młodzież, jak przez starszych, tak dobrze w sferach ludowych, jak wśród inteligencji. Dla ludzi z poczuciem artystyczno - literackiem rzecz ta będzie miała zawsze wartość pociągającą, tak mistrzowsko łączy się w niej sztuka z folklorem. Jest to opowieść o chłopcu Beldonku, który prowadził po wsiach dziadka proszalnego Florka. Wiele kolorytu lokalnego, który czyni książkę szczególnie cenną miłośnikom regjonalizmu. Dosyć przypomnieć słowa jej poświęcone przez Stefana Żeromskiego w „Snobizmie i postępie“. Pierwsze wydanie „Beldonka“ ukazało się w r. 1888, a więc 45 lat temu. Wolertowie zapowiadają, że po „Beldonku“ wyjadzą następnie Dygasińskiego część drugą żywota Beldonkowego, Robinsona polskiego, Wielkie łowy, Cudowne bajki. Szczęść Boże!

*

Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszły na gwiazdkę piękne wydawnictwa dla dzieci i młodzieży. Przystosowane taniością do ciężkich czasów obecnych, stoją jednak te książki na tradycyjnej wyżynie wytworności. Dla młodzieży mamy tutaj opowieść tatrzańską pp. Rytardów „Kolebka na Hliniku“ ze słowniczkiem ludowym na końcu i ładnemi ilustracjami. Dalej: Potemkowskiej Wacławy „Wielki spór w V klasie“, Janiny Rościszewskiej „Panienoczka“, powieść morską Jima Pokera „Zdzich szuka ojca“ z pięknemi kolorowemi ilustracjami, wreszcie — co najważniejsze — śliczną powieść lotniczą „Skrzydlaty chłopiec“ Kornela Makuszyńskiego. Nie brak też książek dla młodszej dziatwy: Sew. Romina „Cudowne wakacje Janka Szewczyka“, Stefana Themersona „Nasi ojcowie pracują“, Makuszyńskiego i Walentynowicza „3-ia księga przygód Koziołka Matołka“, wreszcie K. Iłłakowiczówny „Wesołe wierszyki“. Wszystkie te książki są ilustrowane i stanowić będą miły podarek.

*

Nakładem księgarni F. Hoesicka w Warszawie ukazały się w druku, w przekładzie polskim, dwie książki włoskie o faszyzmie: Gioacchimo Volpe — „Rozwój historyczny faszyzmu“ oraz Giovanni Gentile: — „Źródła i doktryna faszyzmu“. Przekład pani H. Mireckiej, złym językiem i jeszcze gorszym stylem dokonany, jak również niechlujna korekta znacznie obniżają możliwą wartość obu tych prac. Pozatem — same prace są dość chaotycznie i pobieżnie przez autorów potraktowane, a że pisane dla Włochów, dobrze orjentujących się w wewnętrznej, drobiazgowej historji własnego kraju, więc dla polskiego czytelnika tembardziej niezrozumiałe. Nadomiar obie książki, napisane przed laty, omawiają tylko pierwsze pięciolecie faszyzmu, a i to — bardzo ogólnikowo. Przedsiębiorstwom wydawniczym u nas, jak z tego widać, zaczyna już niedopisywać nawet węch kupiecki, co jest szczególnie dziwne u wydawców żydowskich. (S. P.)

WYSTAWA ZWIĄZKU 5 STOWARZYSZEŃ

BEZ zbytniego rozgłosu minęła rocznica dziesięciolecia Warszawskiej Akademji (dawniej Szkoły) Sztuk Pięknych. Sama uczelnia ją przemilczała, jakby zakłopotana, co z tym fantem robić, krytycy sztuk plastycznych nie rozpisywali się wiele, zwłaszcza ci, których prawda sztuki, poczętej przez uczelnię, nazbyt w oczy kole. Znaczenie pewnych faktów trudno jednak umniejszyć. Triumf Polski na „Międzynarodowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych“ w Paryżu w 1925 r., był właściwie triumfem, kilka lat zaledwie istniejącej, Szkoły Sztuk Pięknych, jej profesorów i uczniów.

Na tym terenie powstało następnie kilka stowarzyszeń artystycznych, które dziś w tworzeniu naszej współczesnej plastyki odgrywają czynną, a nieraz przodującą rolę. Obrazy wielu członków „Bractwa św. Łukasza“ (powst. w 1925 r.) znajdują się w Zbiorach Państwowych i wielu galerjach publicznych zagranicą, artyści stowarzyszenia biorą udział w szeregu polskich wystaw zagranicznych i zawsze odnoszą wielkie, w pełni zasłużone sukcesy. „Polski drzeworyt — *c'est moi*“ — może powiedzieć o sobie, bez przesady, stowarzyszenie art. grafików „Ryt“, składające się również z b. uczniów Akademji, pracujących obecnie razem ze swym nauczycielem i mistrzem, prof. Skoczylasem. O wszystkim znanej działalności „Ładu“, instytucji stworzonej przez grupę profesorów i wychowanków

tejże Akademji, nie trzeba nawet wiele mówić: jest to placówka, w swoim zakresie, jak dotąd bezkonkurencyjna. Dawni wychowankowie Akademji, rzeźbiarze, zgrupowani w stowarzyszeniu „Forma“ mogą się wykazać obfitą ilością nagród, wyniesionych z licznych konkursów rzeźbiarskich, obsyłanych nieraz przez najtęższych artystów; tak wysokiego i jednolitego poziomu nie ma żadne inne stowarzyszenie rzeźbiarzy w Polsce. Wielu utalentowanych artystów zjednoczyła także „Szkoła Warszawska“. To chyba dosyć, jak na krótki stosunkowo okres istnienia uczelni.

Przeświadczeni o żywotności tego skupiska młodych plastyków, nie powinniśmy jednak na tem poprzestać. Znaczenia omawianych stowarzyszeń nie określa sam poziom; zajęcie określonego rodzaju postawy artystycznej wyznacza zakres działania i stanowi o jego użyteczności. Celowość tej postawy była nieraz zbyt skwapliwie kwestjonowana, zwłaszcza przez odłam naszej krytyki o obco brzmiących nazwiskach. Atakowano przedewszystkiem odcinek malarstwa, ściślej mówiąc „Bractwo św. Łukasza“. Zarzuty przeciwników zyskałyby bezwątpienia na wadze, gdyby ich autorzy byli stuprocentowymi rzecznikami sztuki wolnej od wszelkich naśladownictw, wpływów, ulegań obcym wzorom. Ponieważ jednak rumor czynili przedewszystkiem panowie z pod znaku „*Ecole de Paris*“, cała sprawa sprowadza się nie do kwestji zasadniczej: wpływologji, lecz do twierdzenia, iż uleganie pewnym wpływom jest użyteczne, zaś innym — nie. Mówmy otwarcie: to nie troska o zachowanie odrębności naszej sztuki kazała wspomnianym panom gorszyć się „naśladownictwem wzorów muzealnych, holenderszczyzną, flamandczyzną“, widzianą w „Bractwie“, lecz prawdziwe zmartwienie, że „łukaszacy“ są głusi na hałas paryskiej malarskiej międzynarodówki. W tem, istotę rzeczy ukazującem, oświetleniu argumenty przeciwko „Bractwu“ nabierają zupełnie innej barwy i ujawniają inną logikę, a raczej jej brak.

Nie kwestjonując bynajmniej czasem zbyt przesadnego nawiązywania do przeszłości, dość odległej, uważam za bardziej wskazane zaznaczenie w „Bractwie“ cech daleko więcej istotnych i ważkich wartościwo. Są niemi: poważna wiedza artystyczna, doskonałe opanowanie rzemiosła, rzetelny stosunek do pracy, ambicja największego wysiłku artystycznego. Dzięki nim właśnie, ujmując świat widzialny w obraz plastyczny, rozważny i nie jednostronny, zdołali członkowie „Bractwa“, poprzez głowy i niechętne grymasy wielu krytyków, nawiązać kontakt z publicznością. Czyż zarzutem może być przystępność obranej formy wypowiedzi, dzięki której szerokie rzesze laików zdołano zwrócić ku tej sztuce, o ileż wyższej od codziennej strawy artystycznej tej samej publiczności?

Działalność „Rytu“, stowarzyszenia również powstałego na terenie Szkoły Sztuk Pięknych, nie spotyka się już z takiemi zastrzeżeniami. Conajwyżej obserwujemy czasem, tak charakterystyczne u nas, przemilczanie, lub pomniejszanie zasług naszych artystów, w tym wypadku — grafików. Z okazji pewnej wystawy „Rytu“, razem z innemi stowarzyszeniami, jeden z krytyków napisał kiedyś: „jest tam jeszcze i „Ryt“. Ale doprawdy brak mi już miejsca na łamach“. I na tem zakończył recenzję. Drugi, z powodu wystawy międzynarodowej drzeworytów w IP-sie, pisał: „tak się ciągle opowiada o tem, że nasza grafika jest najlepsza“. „Gorsza nie jest“ — dodał łaskawie — „ale i lepsza też nie“. Ha, każdy się pociesza, jak umie.

Graficy, zgrupowani w „Rycie“, pod przewodnictwem swego nauczyciela, nawiązali do tradycji rdzennie polskiej sztuki ksylograficznej i przez jakiś czas ulegali wyraźnie wpływom drzeworytniczych prymitywów ludowych. Dziś to się skończyło. Drzeworyt nasz, nawskroś współczesny, nie ulega jednakże przelotnym modnym „izmom“. Jest samodzielny, odrębny, bogaty ilością indywidualności. Nie sięga po obce wzory i w tem zadatki jego odrębności narodowej.

Tak samo nawiązała wyraźnie do tradycji polskiej działalność „Ładu“. I rzecz charakterystyczna, im wyraźniej się snuje nić ewolucyjna tradycji, tem wyniki są lepsze, trwalsze, wcale nie rażąc naśladownictwem, lub zacofaniem, np.: w zakresie tkaniny i kilimu. Natomiast gorzej wypadają próby modernizacji; w rezultacie mamy dzieła, które zazwyczaj można określić tylko mianem eksperymentu (np. meble).

Unikanie zbytecznych szczegółów, lapidarność, synteza ujęcia, prostota stawia rzeźby artystów „Formy“ w rzędzie dzieł zdecydowanie współczesnych. Z drugiej strony, niestosowanie zbyt gwałtownych i krańcowych środków wyrazu, dyskretny umiar, powściągliwa w efektach doskonałość opracowania kształtu bardzo dobrze wiąże te dzieła z przeszłością. Jest to współczesność, osiągnięta drogą ewolucyjną, bez przekreślania kontaktu z dniem wczorajszym.

Co do Szkoły Warszawskiej, to i tu nieraz pogoda spojrzenia, fantazja, impulsywność, żywość narracji plastycznej, jako cechy artysty, wydają nam się dość blizkie.

Tak tedy, streszczając obraz ogólny stowarzyszeń, powstałych na terenie Szkoły Sztuk Pięknych (obecnie Akademji), otrzymamy, z jednej strony, pewien tradycjonalizm, oparty na silnych podstawach pierwszorzędnie opanowanej wiedzy artystycznej, z drugiej — wspomnianą już swobodę, żywość w określaniu zjawisk plastycznych; w dwu pozostałych wypadkach („Ryt“ i „Ład“) wykwit z rdzennie polskich, pięknych tradycyj. A w całości sztukę żywotną, tęgą, umiarkowaną w dążeniach modernizacyjnych, rozważną wobec wpływów postronnych. Obraz ten jest ujednolicony zarazem tożsamością czasu i miejsca nauki i pracy, nadających pewne cechy podobne dziełom nawet dwu krańcowych indywidualności i nasycających całość wspólnym tonem epoki i środowiska.

Przeświadczone, iż podkreślenie tej wspólnoty przyczynić się może do bardziej wyrazistego zarysowania charakteru współczesnej naszej sztuki, na pewnym jej odcinku, stowarzyszenia wymienione postanowiły utworzyć związek. Jako „Związek 5 stowarzyszeń“ urządziły pierwszą wspólną wystawę w IP-sie, w miesiącu listopadzie, dla uczczenia zarazem, przypadającej na ten sam czas, rocznicy: dziesięciolecia Warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych.

WIKTOR PODOSKI

ERRATA: W artykule „Oficjalnie uwieńczeni Anglicy“ w nr. 51 „Myśli Narodowej“ nazwisko poety - laureata z czasów Jerzego III (str. 772) winno brzmieć: P y e, nie zaś P y c

OFENSYWA

PECH PION-TAKÓW

ABY JAKOŚ to pisemko swoje, dla poziomych celów sklecone, ratować, aby koło niego jakiś huczek i harmider zmajstrować, aby jakoś usprawiedliwić wielkie ekspensa, luksusowy lokal z woźnym, lokajem, telefonami, stenotypistkami, no i wogóle wykazać się przed zwierzchnością pozytywnemi rezultatami radosnej twórczości i pracy, wyciągnęli z triumfalnemi minami sprawę „Ogniem i Mieczem". Udało się „Wiadomościom" z Mickiewiczem, to może uda się fraucymerowi z Sienkiewiczem. Endeki pójdą na wędkę i, jak zawsze apoplektyczni, rzucą się i cisną z wehemencją, z okrzykiem: „świętości nie szargać!" Wtedy my na nich znów z „pyskiem" i z „pałą", jako że są świętoszki i hypokryty. Wtedy oni może zmobilizują albo Chrzanowskiego albo Konopczyńskiego. A my im na to z Ułaszynem i Rzymowskim. Wtedy oni wezwą do pomocy jakiegoś kanonika albo generała (może Sikorski?). A my im na to Urke Nachalnika albo „wywiad z robotnikiem z Wielkopolski", autorem „Pamiętnika", Wojciechowskim. Posypią się dyskusje, polemiki, awantury. I może jednak zaczną w kioskach dopytywać się o naszego „*Cham-piona*". A może nawet zapuka jakiś prenumerator z prowincji?

Tymczasem fatalny zawód... Coś tam gdzieś cyknęło, coś gdzieś puknęło, ktoś się oburzył, ktoś charknął, ktoś zaklął. I znów cisza, i spokój, nic: ani rezonansu, ani reakcji. Endeki zmądrzały. Nie za każdą łobuzerką wyciągają raźno biczysko z kąta i piorą. Ot, tak trochę trzepaczką na muchy. I zgoda. Niech wam będzie, braciszki. Szmulem p. Górka! Szalom panie Kaden!

Teraz bowiem znacznie spokojniej należy traktować te wszystkie kampanje rewizjonistyczne, wybielania, oczerniania, powiększania karłów, pomniejszania olbrzymów, rewelacje, demaskarady. Co się bowiem okazało? Okazało się, że jeżeli doskonały pisarz, a przytem genjalny (choć pechowy) kombinator wystąpi z oszołamiającem odkryciem, że n. p. Mickiewicza (także Litwina! a jak mu także dogryzali za życia!) otruli Endecy (dziadowie tych, co to pierwszego prezydenta) z poduszczenia Zamoyskich (Komitet Narodowy...) to odkrycie takie, natrafiwszy na rezonans i opór, mobilizuje szereg piór *contra* i *pro*, a z zamętu i fermentu znów wyłania się dalsza część torsu Prawdy, Prawdy niebezpiecznej...

Jeżeli więc teraz do nowego „pomniejszenia" innego „olbrzyma", do odkryć niesłychanych i oszołamiających rewelacyj zabiera się czy dobiera jakaś Boyowa dziesiąta woda po Kisielu i jeżeli nawet występuje na arenie cyrkowej, aby „nie zostawić suchej nitki na Sienkiewiczu" (jak pisało lwowskie ukraińskie „Diło"), to tem się też nie należy przejmować ani na moment, nawet jeżeli „Moment", „Hajnt", „Opinja", „Naprzód", „Nasz Dziennik", warszawskie Icki, krakowski Ikac rzucają się na taki żer sensacyjny z wrzaskliwym porykiem.

Lat temu omal trzydzieści już raz conieco staraliśmy się dobrać do Sienkiewicza: Brzozowski głęboko, poważnie, patetycznie, „światopoglądowo" od strony Marxa a ja od strony Marsa, antymilitarnie, pacyfistycznie, sarkastycznie, poczem i conieco błaznująco („Gdy Henio miał dwadzieścia lat"); doczepił się do naszej mocnej, ekscytującej młodzież kampanji najniepotrzebniej, jak zawsze, ten dziś wielokrotny prezes Sieroszewski i w krakowskiej „Trybunie" napadł na Sienkiewicza, oczywiście ordynarnie, wulgarnie, a ta napaść na mile zalatująca dziegciem i... czajem principjalnej wrażdy do polskich „panów"... karmazynowych... tak zdyskredytowała odrazu całą górniejszą ideowo kampanję, że trzeba ją było przerwać i zlikwidować, aby nie solidaryzować się z czemś tak ohydnem i niemądrem. Sienkiewiczowi nie tylko to nie zaszkodziło, ale moralnie pokrzepiło i w opinji jeszcze tak podniosło, że w kilka lat potem pisali o nim:

Witkiewicz:

„Z powieści Sienkiewicza wydobyła się nietylko bierna świadomość narodowej odrębności, buchnęła z nich elementarna siła narodowego życia, z taką mocą sugestyjną, że ludzie wątpiący ocknęli się i kajali się za swoją niewiarę, za poniżenie dusz własnych, które było poniżeniem wielkiej przeszłości i tej przyszłości, w którą nikt żywy nie wątpi".

Żeromski:

„Nie poprzestał on jednak na wszechwładnem ogarnięciu mowy dzisiejszej, którą się posługiwał w utworach, malujących współczesność, albo którą uderzał jak szpadą, gdy trzeba było stanąć w obronie wszystkich Polaków — lecz posunął się do rozłamania wrzeciądzów skarbca mowy starej, prapradziadowskiej, do gwaru wojny i pokoju Rzeczypospolitej. Otworzył nad nami ów skarbiec XVII-go wieku i dał literaturze polskiej arcydzieło stylu: usłyszeliśmy na własne uszy żywą mowę dziadów, leżących po lochach kościołów, po szlakach dzikich pól...".

Co innego atoli są kampanje młodych, a co innego „kombinacje" starych wygów i nie z jednego pieca... wyjadaczy. Ten tam *quidam* teraz grzecznie i układnie reweransując, że on niby „broń Boże.. żeby go tylko nie posądzać... bo on owszem także... przeprasza za wścibstwo... całuje ruci... ...pada do nóżek..., ale chce coś także... Ot, naprzykład, że nie byłoby wysuniętej wprzód front postaci Bolesława Śmiałego, gdyby nie podważenie... przeprasza bardzo... padam do nóżek... legendy o świętym Stanisławie..." Ale trumny srebrnej i sarkofagu z Wawelu usuwać wtedy nie proponowano, ani Skałki zamknąć! Kompanowie zaś tego tam lodomeryskiego „znawcy" dziejów już domagali się i teraz dalej będą, aby z „Ogniem i mieczem" pierwszy tom usunąć. Dlaczego nie? Z nowojorskich bibljotek publicznych na rozkaz Shylockracji major miasta kazał usunąć „Kupca weneckiego". Jest precedens. Usunąć tom pierwszy, a następne tomy poddać rewizji i korrelacji... historjozoficznej. W Charkowie śpiewali „Halkę" Moniuszki w ...inscenizacji... komunistycznej (łatwo). Trzeba to tak przerobić, aby zyskało aplauz wszystkich mężów wszystkich Sulamitek, Esterek i Rachel... I „nieustraszony Górka", jak go nazywa nieustraszony Kaden, rzuca projekt tak jak... rzucał projekty *tempore belli* w czasach okupacji pruskiej, jako adjutant regenta Ostrowskiego („pierzyna") i wonczas zdaje się... *von* Górka.

Ale jak przerobić? Niech powie! Niech się nie „żenuje"! Jak osoba się wywnętrza przed społecznością:

„...Celem najwyższym, tym pierwszoplanowym nakazem, który zmusza do utrącenia fikcyj historycznych „Ogniem i mieczem", jest twórczy obowiązek wstawienia w miejsce „bohaterstwa" krzykliwych uciekinierów szlacheckich — rzeczywistego bohaterstwa, które naprawdę miało miejsce w tych krytycznych latach. W miejsce „bohaterstwa - rycerstwa", t. j. (w większości wypadków i ludzi) panicznie uciekającej szlachty, oraz jej formacyj wojskowych (z ograniczeniem do tej epoki i z wyłączeniem Litwy), winno się postawić prawdziwy pomnik bohaterstwa polskiemu „chamowi" i polskiej piechocie z artylerją".

Ślicznie! Cudnie! Owszem! Możliwe! Oda eksadjutanta na część „Piechoty" i „Chama" No, bardzo pięknie, „nieustraszony" panie Górka!.. A paszkwil mieszczuszka Kadena na „Mateusza Bigdę" czy czytał? O procesie Brzeskim słyszał kiedy czy nie słyszał? A o Łapanowie, a o Jadowie a o niejakim Witosie wie co się, czy nie? Co się tak nagle nasi Teściowie i nasi zięciowie rozpalili afektami do „Chama"? i „Piechoty"? Dlaczego nie mówili wtedy, kiedy mówiła żandarmerja? Skąd tak wygom wezbrało na rozczulenie do „Chama"?

Czy do samego „Chama"? Nie. Po drodze i dla „Jana Kazimierza"... Dlaczego dla Jana Kazimierza? A bo:

„Jan Kazimierz, miał w palcu więcej doświadczenia i wiedzy wojskowej, niż kilku hetmanów i regimentarzy polskich tego czasu w stylu Mikołaja Potockiego lub Jeremiego Wiśniowieckiego — w swych głowach. Nawet w tej Polsce szlacheckiej, wiecznie wszystkich swych dzielnych króli obsypującej kalumniami, nikt nie odmawiał Janowi Kazimierzowi, że był najdzielniejszym z dzielnych".

Kto był najdzielniejszy z dzielnych a „kalumniami obsypywany"? Hę? Swego czasu Beseler... Swego czasu i... generał Rozwadowski.. Swego czasu.. Jan Kazimierz... A teraz?... Kto? No zgadnijcie?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Subtelna różnica polityczna.

— Wy jesteście retrogrady. Pan np. powie, że prawa łamać nie można.

— Oczywiście, nie można!

— A ja łamię. Znaczy się: można.

*

Jak wiadomo, w planach dyktatora kultury polskiej, p. Kadena - Bandrowskiego, leży, aby w szkołach średnich uczono literatury i języka na utworach pisarzy żyjących.

W tym celu usuwa się już z tego „odcinka" Henryka Sienkiewicza. Motywuje tę konieczność słynny w „sanacji" historyk p. Olgierd Górka w artykułach, drukowanych w „Pionie". Sienkiewicz nie wytrzymuje pionu sanacyjnego z powodu: Ukraina i szlachetczyzna. Przyszły czasy na inną trylogję, mianowicie na „Czarne skrzydła" Kadena - Bandrowskiego.

Nikt nie chce tego czytać, niechże dzieci przynajmniej przeczytają.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM